ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 7. 17 LUTEGO 1934 ROKU

W numerze:

Wielkie polowanie na dziki

u ks. Janusza Radziwiłła

CENA 1 ZŁ.



Bezpłatne Premja „Świata"

dla nowych prenumeratorów.

Każdy nowy prenumerator „Świata" przy wpłaceniu prenumeraty miesięcznej otrzyma bezpłatnie **tom ciekawej powieści** lub piękną **reprodukcję autolitografji Józefa Toma,** przedstawiającą króla Jana Sobieskiego. Każdy nowy prenumerator wpłacający **prenumeratę za kwartał,** otrzyma bezpłatnie **tom powieści** i wyżej wymienioną **reprodukcję Józefa Toma,** oraz będzie miał prawo do wzięcia udziału w interesującym konkursie, który ogłosimy w najbliższym czasie **wyłącznie dla prenumeratorów kwartalnych.** Konkurs nasz będzie wyposażony **w szereg cennych nagród.**

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87, Adm. 504-00
(WARUNKI PRENUMERATY NA 4-ej STR. OKŁADKI)

w numerze:

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM LEONA CHRZANOWSKIEGO
ROK XXIX • NR. 7 • DNIA 17-go LUTEGO 1934 ROKU
(ZAŁOŻYCIEL STEFAN KRZYWOSZEWSKI)

LEON CHRZANOWSKI

WALKI I STRZAŁY...

TRYUMF REPUBLIKI

Na ulicach Wiednia grzmiały armaty — na bulwarach Paryża terkotały karabiny maszynowe! W miastach Austrji auta pancerne prażyły ogniem śmiercionośnych kul, na ulicach Paryża, Lyonu, Marsylji, Lille — szarżowano, strzelano, rozbijano ogrodzenia i latarnie...

Walki, walki zajadłe, gwałtowne, krwawe, bezpardonowe.

Walki w Austrji mogą mieć następstwa międzynarodowe wielkiej wagi.

Walki we Francji, zahamowane dziś wolą patrjotyczną narodu, stały się niezaprzeczonem zwycięstwem Republiki i mogą być uważane jako zamknięcie mniej lub więcej bolesnego, gwałtownego okresu.

Jeśli tak będzie — jak na razie wydaje się — zakończenie ich stanie się tryumfem Rzeczypospolitej, tryumfem kontroli narodu nad parlamentem, nad urzędami, nad wydarzeniami.

Będzie to zwycięstwo zespolenia idei dobra państwa z odpowiedzialnością za nie wszystkich obywateli.

Nie będziemy dziś wracali do faktów znanych już powszechnie. Depesze i prasa codzienna omówiły je już wielostronnie.

Musimy jednak przypomnieć, że ulice i bulwary Paryża stały się jakby spóźnionem odbiciem dni wielkiej wojny.

Na polach Elizejskich — kuchnie polowe i patrole, kuchnie dymiące strawą jak na biwakach. Kuchnie polowe wśród publiczności, eleganckich pań i zdumionych tym widokiem Grand i Petit Palais.

Żołnierze w hełmach bojowych, czerpiący z basenów ulicznych fontann wodę, ot tak, wprost, jak z przydrożnego strumienia...

Autobusy płonące, jak bestje zbuntowane i zbiegłe z klatek, ziejące ogniem, czadem benzyny, hukiem wybuchających motorów...

Tłum, walczący zajadle, szkłem, brzytwami, kamieniami, kawałkami asfaltu, rewolwerami, liczbą i odwagą. Tłum, cofający się, rozpędzany szarżą kawalerji i natychmiast formujący się z powrotem. Tłum nie uciekający w panice po salwach (stwierdzają to gazety francuskie różnych odcieni), lecz padający na ziemię, zrywający się i kontratakujący z okrzykiem „ils ont osé ça!" (ośmielili się na to!)...

Parlament, dyszący oburzeniem, nienawiścią lewicy do centrum i prawicy, parlament, gdzie trzaskały pioruny oskarżeń, błyskawice zarzutów, gdzie huczały gromy. Gdzie posłowie — jak niewidomy kombatant Scapini — wołali w stronę rządu: „Wczoraj w czasie salwy zdeptano mnie, wczoraj poszarpano sztandar byłych kombatantów, dziś wyjdziemy na ulice z odznaczeniami wielkiej wojny na piersiach, dziś w Paryżu może być 20.000 zabitych! W tej chwili u wrót parlamentu padają strzały;



W basenie przed Grand Palais żołnierze czerpią wodę



Kuchnie polowe na Polach Elizejskich w Paryżu

kto dał rozkaz strzelania?" A obok jeszcze bardziej egzaltowane głosy wołały: „W obronie złodziei przelaliście krew francuską, — do dymisji! do dymisji!"

Rząd p. Daladier mimo to uzyskiwał votum zaufania po votum zaufania! Rząd p. Daladier'a miał większość, miał poparcie, miał głosy i zaufanie w izbie! Ale rząd p. Daladier'a czuł, że to zaufanie i tę większość tracił z minuty na minutę — nie na ulicy paryskiej lecz w całym narodzie.

Rząd p. Daladier słuchał jak wyroku okrzyku rosnącego w mocy, okrzyku „dissolution!" Rozwiązać Izbę! — oto hasło jego przeciwników, stanowiących mniejszość w Izbie. I rząd p. Daladier'a ustąpił, bo poczuł, że aby utrzymać się u władzy, musi przejść przez masakrę francuzów przez francuzów, bo poczuł, że o ile pozostanie — hasło: „dissolution" nabierze takiej mocy, iż postawi obecną jego większość przed urną wyborczą.

Daladier — od dwuch lat chodzący w nimbie przydomków w rodzaju: „Napoleon parlamentaryzmu", „milcząca wola", — padł, odszedł. Padł w sposób dla przywódcy lewicowego najtragiczniejszy. Padł po strzałach do ludności, do sił zbrojnych państwa; chwycił się władzy wsparłszy się o cyngle i szable i gdy padły pierwsze ofiary — władzę oddać musiał. Ani nie przegrał w parlamencie, ani nie przegrał na ulicy — padł, bo fala, biorąca swój przypływ w morzu sumienia narodowego, wzrastała i piętrzyła się, jak olbrzymia barykada, przed rządem, który zrodził się jako ogólnonarodowy, a przerodził się w ciągu jednej nocy za podszeptami i doradami pana Malvy w rząd ultrapartyjny i bezpardonowy.

Przyszedł rząd b. prezydenta Francji Doumergue'a. Rząd obejmujący wszystkie stronnictwa oprócz socjalistów zjednoczonych i komunistów. Rząd „odprężenia narodowego". Nieobecni — socjaliści przywitali go rzuconą pod nogi kłodą „strajku powszechnego".

Miała to być próba sił, wykazanie, jak wielka ilość stanęłaby w obronie demokratycznych instytucji Republiki.

Jednym bowiem z najbardziej znamiennych rysów obecnej walki wewnętrznej we Francji była wymiana oskarżeń o tendencje faszystowskie.

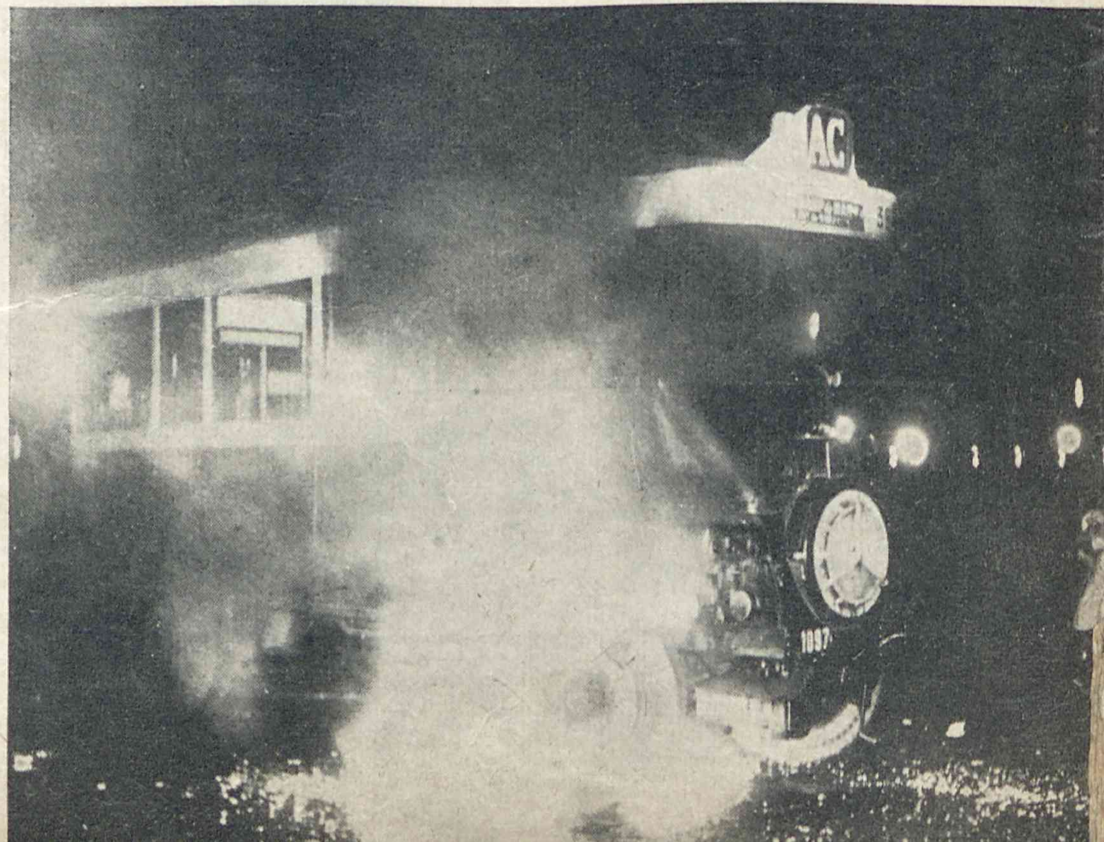
„Precz z faszyzmem" — wołała lewica, gwałtownie demonstrując przeciw Tardieu, Marin'owi i innym. „Nie pozwolimy, aby sztuczkami interpretacji, faszystowskiem łamaniem regulaminu, godzono w ideę demokracji i woli parlamentu — wołały centrum i prawica, gdy pan Daladier i większość uniemożliwiali wielkiej liczbie interpelantów zabrać głos i bronić swych interpelacji".

Obrona demokracji — była pociskiem, który rzucały sobie na głowę obie strony. To był może najbardziej charakterystyczny rys tej

Dobrotliwy uśmiech b. prezydenta Doumergue'a



Płonący autobus koło placu Opery



gwałtownej walki. Żadna ze stron nie chciała nawet dopuścić możliwości posądzenia, iż godzi w republikańskie instytucje i prawa. (Wyłączając oczywiście Action Française — nieliczną w Parlamencie).

Wynikiem walk paryskich stał się rząd ogólnonarodowy, przekraczający pojęcie koncentracji partji. Stoi na jego czele b. prezydent, wysunięty w swoim czasie przez stronnictwa radykalne jako postać matująca Clemenceau. Radykał, republikanin, człowiek, który swem orędziem pożegnalnem w okresie składania godności prezydenta usiłował obozowi radykalnemu otworzyć oczy na jego błędy i nadmiar ufności w polityce zagranicznej — człowiek ceniony za prawość, trzeźwość sądu, wielką przeszłość republikańską i kochany za swój przysłowiowy uśmiech dobrotliwości!

Wsparł się o filary różnej skali, lecz stanowiące symbole republikańskiej Francji — Herriot, Tardieu, Marquet, Bartou, Cheron, Marin, marsz. Petain — oto nazwiska głośne, wielkie! Czy opanują swe indywidualizmy te asy polityki francuskiej, aby stworzyć silny i harmonijny akord twórczy, zobaczymy wkrótce.

Sam fakt ich gestu ponadpartyjnej ambicji, fakt stworzenia obecnego gabinetu jest wyrazem poczucia odpowiedzialności, przywiązania do reżymu, patrjotyzmu i umiejętności dostosowania się do grozy położenia.

Gabinet Doumergue'a — to tryumf Rzeczypospolitej.

Kiedy tłum paryski wyrywał kawałki asfaltu aby godzić w obrońców rządu Daladier'a, nie był on ani faszystowski, ani monarchistyczny — był to ten tłum paryski, co potrafił walczyć o kontrolę i przeciw bezkarności sprawców ostatnich skandali. Nie ulega wątpliwości, że wielu z tych, co walczyli na ulicach przeciw metodzie rządów Daladier'a, strajkowało w parę dni potem, aby w imię hasła obrony Republiki demonstrować swą wolę i gotowość obrony republikańskich instytucji i metod rządzenia. Niedawny prezydent Francji — dziś szef rządu ma przed sobą wiele trudności i ogrom pracy. Ale ma również świadomość, czego chcą jego obywatele, ma poczucie swej odpowiedzialności i faktu, że wyrósł on z powrotem jako symbol poszanowania Republiki i jako nakaz dnia, domagające się dłoni silnej i karzącej występki.

Po rewolcie austrjackiej

Od czasu rekonstrukcji jesienią ubiegłego roku rządu Dollfussa w myśl życzeń szefa Heimwehry, ks. Starhemberga, Austrja, broniąc się przed wszechgermańską dyktaturą hitleryzmu, weszła na drogę partykularnej dyktatury Heimwehry. Parlamentu nie zwoływano, ani też nie rozwiązano, aby przeprowadzić nowe wybory. Zapowiadano natomiast zmianę konstytucji w kierunku stworzenia „państwa autorytatywnego i stanowego", co ma być ostatnim wyrazem mody XX-go wieku. Zakazano wszelkich organizacji quasi - militarnych, prócz Heimwehry księcia Starhemberga, która już przed paroma laty urządziła pucz w Styrji, a teraz awansowała na jedyne praworządne i patrjotyczne stronnictwo. Pozwolono też jej ćwiczyć się i zbroić swobodnie, oraz w miarę potrzeby napastować przeciwników. W najbliższym czasie zapowiadano także rozwiązanie wszystkich stronnictw politycznych, więc socjalnej-demokracji, chrześcijańsko - socjalnych i t. d., chcąc dojść do „systemu jednej partji", na wzór faszyzmu, komunizmu i hitleryzmu.

Plany te w ostatnich dniach istotnie zaczęto realizować: wzorem rzymskim zorganizowano „marsz na Insbruk". Heimwehra zaczęła zastępować w czynnościach policję, dokonywano aresztowań obrońców istniejącego ustroju i obowiązującej konstytucji — socjalistów, przeprowadzano masowe rewizje w ich lokalach partyjnych i domach robotniczych. Doprowadziło to do stawienia oporu zrazu w Linzu, następnie w innych miastach. Wynikły formalne bitwy między członkami republikańskiego Schutzbundu a policją, wojskiem i Heimwehrą.

Oczywiście, przy tak nierównych siłach wynik był zgóry przesądzony. Socjaliści zostali pobici, partja ich rozwiązana, przywódcy aresztowani lub pomordowani, organizacje zawodowe i kulturalne, z których słynął ruch robotniczy austrjacki, rozbite. Ale wszystko to i tak by nastąpiło wcześniej czy później, — gdyż leżało w programie obecnego rządu Dollfussa. Socjaliści austrjaccy przyspieszyli tylko rozwój wypadków; zato mogą mieć zadowolenie moralne, że się porwali do walki w obronie swych poglądów i instytucji, że nie poszli pokornie pod nóż, jak barany, wzorem towarzyszy niemieckich. Krew przelana w imię idei zawsze ma swoją wartość.



Barykady z rowerów i latarni

Rząd Dollfussa odniósł nad nimi zwycięstwo. Ale owoce tego zwycięstwa będzie spożywał kto inny; ktoś, kogo pozornie Dollfuss zwalczał, kogo nie dopuszczał do Wiednia — Hitler. Kanclerz austrjacki, tak dzielnie jeszcze przed rokiem broniący się przed inwazją hitleryzmu, później pokpił sprawę. Uwierzył bowiem, że djabła można wypędzić Belzebubem. Programowe przejście od konstytucji demokratycznej do rządów jednej partji, czy „jednego frontu", zaprowadzenie ustroju korporacyjnego czy stanowego, proklamowanie „państwa integralnego" — ależ to czysty faszyzm, blizki krewny nazizmu.

A czy na czele tak spreparowanego państwa będzie narazie stał kanclerz Dollfuss, książe Starhemberg, czy minister Fey, to sprawa podrzędna. I tak w najbliższym czasie zastąpi ich Hitler.

Ostatnie wypadki oczyściły mu drogę do Wiednia. I na tem polega ich doniosłość. Tylko Austrja republikańska, tylko Austrja demokratyczna i parlamentarna mogła utrzymać swą niezależność od sąsiada z północy i z południa. Austrja, która uległa faszyzmowi moralnie, musi mu ulec politycznie.

W. G.



Portret Jana Sobieskiego (nieznanego malarza holenderskiego) ofiarowany posłowi R. P. w Hadze, drowi W. Babińskiemu, przez p. Hendrika Kuypersa, wydawcę dziennika „De Maasbode", znanego ze swych sympatji dla Polski

WYSTAWA SOBIESKIEGO W PARYŻU

Bibljoteka Polska w Paryżu, dla uczczenia roku jubileuszowego Sobieskiego, urządziła z inicjatywy ministra Franciszka Pułaskiego, a staraniem kustosza Dr. Czesława Chowańca, wystawę, przedstawiającą Sobieskiego i jego czyny w grafice ówczesnej.

Materjał pochodzi wyłącznie ze zbiorów polskich, a więc, oprócz własnej kolekcji Bibljoteki Polskiej w Paryżu, z zasobów: Ossolineum we Lwowie, Muzeum Czartoryskich w Krakowie i Gabinetu Rycin Bibljoteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Wystawa ta obejmuje w połowie ikonografję króla przez współczesnych mu artystów, w drugiej zaś połowie sceny batalistyczne. Daje ona po raz pierwszy zebraną całość artystycznego odbicia sławy Jana III-go we współczesnej mu, przeważnie zagranicznej, sztuce graficznej, a pośrednio i w malarstwie. Jest to prawie kompletny obraz grafiki 17-go wieku, odnoszącej się do osoby Sobieskiego, co należy podkreślić, jako wybitną zasługę naukową, kulturalną i propagandową d-ra Chowańca.

Opracowany przez niego i pięknie z ilustracjami w Paryżu wydany katalog szczegółowo opisuje odnośne dzieła wszystkich najwybitniejszych grafików tej epoki, z których należy tu wymienić nazwiska: N. de l'Armessin, N. Arnoult, P. Bartoli, J. Blondeau, J. A. Boener, pk. Bouttats, Crusius, B. Farjat, J. Hainzelman, Ch. de la Haye, A. Hogenberg, R. van Hooghe, B. Kilian, C. Laurentio, J. M. Lerch, M. Masson, J. Nypoort, J. Roode, J. Saal, J. Sandrart, P. Schenck, H. J. Schollenberger, P. Stephani, S. Thomassin, G. Valck i R. White.

Przegląd ten stwierdza, że portretem króla interesowali się przeważnie artyści francuscy, zaś tematy batalistyczne i alegoryczne znajdowały odtwórców przeważnie wśród artystów holenderskich, z których najznakomitszą jest serja wielkich plansz świetnego mistrza Romeyn de Hooghe'a. Ten komplet pięknych obrazów rytowanych de Hooghe'a spotyka się tu po raz pierwszy zgromadzony w jednem miejscu.

Szkoła holenderska reprezentowana jest na wystawie 32 eksponatami, szkoła niemiecka — 24-ma, szkoła francuska — 17-ma, szkoła polska — 7-a.

Wśród dzieł polskiego pochodzenia spotykamy sztycharza gdańskiego S. Donneta, malarza Jerzego Semigonowskiego w sztychu Karola de la Haye, ryt. Antoniego Oleszczyńskiego figury bronzowe, rzeźbiarza polskiego Piotra Thies'a. Pozatem polonica są reprezentowane przez 2 ryciny Izaaka Saalla według rysunków architekta nadwornego króla Jana, Roode'go, oraz — przez kolorowy drzeworyt nieznanego autora, z polskim tekstem.

Katalog dr. Chowańca odznacza się największą skrupulatnością w identyfikacji i opisie rycin, z których jednak 22 musiały pozostać anonimowemi.

Należy żałować, że nie udało się organizatorom pozyskanie jako eksponatów, tworzących odrębny i zupełnie prawie dotychczas nieznany dział Sobiescianów, oryginałów rzeźb w drzewie Piotra Vaneau, stanowiących zachowane jeszcze fragmenty pomnika Sobieskiego, wykonane dla biskupa Armanda de Béthune. Fragmenty te są przechowywane w Luwrze, u hr. Branickiej, w Montrésor i w czterech innych miejscowościach Francji. Zestawienie ich po raz pierwszy w jednem miejscu byłoby nielada okazją artystyczną i naukową. To się, niestety, nie udało.

Tem niemniej pierwszorzędna całość wystawy wyłącznie graficznej przedstawia się imponująco i jest doniosłym aktem propagandowym polskiego jubileuszu.

Dr. Stefan Rygiel

„Artyści mówią o sobie"

Ankieta „Świata"

Coraz częściej pada z pośród publiczności zdanie: „Ja tej nowej sztuki nie rozumiem". Coraz częściej artysta z pozornem lekceważeniem odpowiada: „Nic mnie to nie obchodzi. Tworzę dla siebie".

W rezultacie pogłębia się tylko wzajemne niezrozumienie — a sztuka, zamiast oddziaływać na widza i dawać mu wzruszenia — pozostaje tam, gdzie powstała: w czterech ścianach pracowni. Ani publiczności, ani artystom ten stosunek nie wychodzi na dobre. Sztuka, stając się coraz mniej ludziom potrzebna, dojść może do zupełnego osamotnienia.

Czy istnieją sposoby wyjścia z tego impasu? — czy są one pożądane dla twórców i dla publiczności? — czy „kryzys w sztuce" jest istotny, czy tylko pozorny? — chwilowy, czy trwały? — czy idzie z ducha, czy z braku nędznej mamony? — czy prawdą jest, że „malarstwo się skończyło" i nikt go nie potrzebuje? — oto pytania, które nasunęły się przedewszystkiem, gdy Redakcja „Świata" przystąpiła do realizacji ankiety poświęconej malarstwu, rzeźbie, grafice i zdobnictwu w Polsce.

A zaraz po tych cisnęły się kwestje inne, tak bardzo dziś dyskutowane: co ważniejsze: *treść czy forma?* — a może *treść i forma?* — kolor czy bryła? — wrażenie czy wyraz — (impresja czy ekspresja?). Abstrakcja czy dotykalna rzeczywistość? I znowu z innej dziedziny: kształcić się w akademji, czy szukać samemu swej drogi? Studjować po muzeach — czy, jakby chciał Marinetti, porwać stare płótniska na strzępy? Siedzieć w zaścianku, czy wałęsać się po Paryżach i Florencjach. Co lepsze, co bardziej celowe?

Nikt nam na to lepiej nie odpowie, niż sami zainteresowani. Artyści zapytani o te sprawy rozpalają się, mówią szczerze, mówią fachowo — bo myślą i dyskutują o tych kwestjach latami. Co najciekawsze: mówią *bardzo rozmaicie*. Tę różnorodność ich punktów widzenia uwydatniła z wielką bezstronnością znana historyczka sztuki, dr. J. Puciata-Pawłowska, która podjęła się dla naszej redakcji przeprowadzenia szeregu rozmów z artystami na tematy związane ze sztuką i twórczością.

Stawiane artystom pytania były świadomie ustalone i dlatego *kwestje* poruszone w rozmowach z poszczególnymi artystami powtarzają się — natomiast *sposób* ujmowania ich przez zapytywanych wykazuje wielką rozmaitość, a o to właśnie chodziło.

Zgromadzony w ten sposób materjał podzieliliśmy na dwie grupy. Do pierwszej wlączyliśmy odpowiedzi artystów, których twórczość zdobyła już zrozumienie i uznanie publiczności. Do tej grupy wchodzą: prof. Wojciech Jastrzębowski, Henryk Kuna, rektor Tadeusz Pruszkowski, prof. Władysław Skoczylas, Józef Tom i prof. Edward Wittig.

Do grupy drugiej, której hasłem jest jeszcze eksperyment i poszukiwanie, weszli Jan Cybis, Józef Czapski, Tytus Czyżewski, Henryk Stażewski, Wacław Wąsowicz, Kamil Witkowski. W każdej grupie zachowaliśmy alfabetyczną kolejność nazwisk — gdyż klasyfikowanie zasług nie stanowi celu naszej ankiety. Jeżeli inteligentny czytelnik — zetknąwszy się na łamach „Świata" z myślami i intencjami artystów — zainteresuje się bliżej i ich sztuką, a także *sztuką wogóle* — cel nasz uważać będziemy za osiągnięty.

Redakcja „Świata"



Prof. Wojciech Jastrzębowski

PROF. WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI

Nagroda Polskiego Aeroklubu na zawody w Cleveland. Komp. prof. Jastrzębowski



Profesor Wojciech Jastrzębowski przyjmuje mnie w swem miłem mieszkaniu, zapełnionem szlachetnemi w kształcie meblami i kilimami o subtelnych barwach.

— Nad czem pan profesor obecnie pracuje? — pada pierwsze pytanie.

— Zapotrzebowanie rodzi zagadnienie; potrzeba bezpośrednia jest dla mnie ważnym bodźcem określającym przedmiot mej pracy. Obecnie nie pracuję nad żadnem większem dziełem, bo nie mam takiego zapotrzebowania. Szkicuję natomiast wnętrza na wystawę sztuki wnętrz, która zostanie otwarta w I. P. S-ie w maju. Wspólnie z młodymi, których prowadzę, chcę pokazać, że mebel to nietylko sprzęt ściśle użytkowy, ale i dzieło sztuki. Dotychczasowe meble wytwarzane przez „Ład" są skromne, bo troską tych, którzy je projektują, jest przystosowanie do bardzo ograniczonego budżetu ludzi pracujących.

— Czy tworząc nowoczesną architektonikę wnętrz, przewiduje pan miejsca na obrazy, malowidła i rzeźby? Czy też uważa je pan za zbędne?

— Obraz i malowidło, a nawet rzeźba to ważne elementy wnętrza — chodzi tylko o sharmonizowanie ich w całość estetyczną. Malarstwo musi być ściśle związane ze ścianą, w nią wkomponowane. Artysta malując obraz, dając mu odpowiednie wymiary i ramy, powinien mieć na myśli, dokąd swój obraz przeznacza, powinien mieć na uwadze, że np. złota rama jest trudna do zastosowania w nowoczesnem wnętrzu.

Wyobrażam sobie nawet, dodaje prof. Jastrzębowski, holl, czy też inne ściśle określone miejsce we wnętrzu, któreby było zawieszone od góry do dołu obrazami. Jak np. doskonale wyglądają obrazy Canaletta na Zamku, jak zyskują przez odpowiednie ich ugrupowanie — połączenie ze ścianą.

— Jakie jest zdanie pana, jako pedagoga, o braku dostatecznego kontaktu z zagranicą i o wyjazdach młodzieży artystycznej?

— Wyjazdy są konieczne, tylko trzeba wiedzieć, po co się jedzie. Musi też być określony czas przebywania. Powinny być nawet młodym artystom ściśle określane zadania, które mają rozwiązywać — a nawet marszruta. Zapoznanie się z innemi środowiskami sztuki jest oczywiście bardzo wskazane — może nawet wpłynąć całkowicie na zmianę zainteresowań. Pobyt w Paryżu, w którym ujrzałem sztukę Egiptu i gotyk — wielką bezimienną sztukę tak dziwnie i tak ściśle

związaną z życiem — odtrącił mnie od malarstwa, któremu się wówczas oddawałem i poprzez witraż i malarstwo ścienne skierował do sztuki dekoracyjnej. Wyjazdy jeszcze i dlatego są specjalnie potrzebne — kończy swą myśl profesor, — że tak dotkliwie daje się odczuwać brak u nas muzeów i bibljotek z zakresu historji sztuki.

— W jaki sposób pracuje pan, łatwo czy trudno?

— To się nie da dokładnie określić. Czasem pomysł łatwiej się realizuje, czasem trudniej, ale zawsze to, co powstaje w trudzie, jest wartościowsze. Wadą artystów jest, że nie uznają konieczności systematycznej pracy, a tymczasem według mnie codzień należy przepracować pewne quantum godzin.

Jako założyciela „Ładu" i kierownika młodzieży, zapytuję, co myśli o powszechnej dziś dążności do łączenia się artystów w grupy?

— Wszelkie zrzeszenia, zwłaszcza dla ludzi młodych, uważam za wskazane. Potem, gdy staną się samodzielnie wyrobieni, mogą odpaść, ale na początku, zwłaszcza po wyjściu ze szkoły, jest to konieczne.

— Jaki jest stosunek pana do tematu w dziele sztuki?

— Epoki wielkiej sztuki były tematowe. Tematów dostarczał kult religijny. Temat może istnieć zawsze, tylko powinien być tak plastycznie ujęty, aby stał się dziełem sztuki. Uczniom moim w wielu wypadkach dla wyćwiczenia daję do rozwiązania zadania zupełnie beztematowe; zestawianie kolorowych płaszczyzn, kształtowanie brył — ale to wszystko pozostać musi i powinno w pracowni artysty jako ćwiczenie.

— Czy sztuka według pana powinna być użytkowa?

— Sztuka czysto użytkowa nie istnieje. Choćby w architekturze nowoczesnej — występują przedewszystkiem zagadnienia czysto estetyczne, do nich często dorabia się dopiero pewne uzasadnienia użytkowości.

— Czy istnieje kryzys w sztuce i jakie są jego przyczyny?

— Między społeczeństwem a sztuką wytworzyła się przepaść. Aby ją znieść, trzeba szerzyć kulturę estetyczną, zainteresowanie sztuką, poprzez wykłady, odczyty, poprzez lekcje w szkołach, w których zupełnie niesłusznie pomijana jest historja Sztuki.

Samo przebywanie wśród dzieł sztuki — dodaje prof. Jastrzębowski niezmiernie ciekawe spostrzeżenie, — nie wpływa jeszcze na podniesienie kultury estetycznej. Byłem kiedyś w Dubrowniku, w tem niezwykłem mieście, gdzie piękno przyrody tak cudownie łączy się z pięknem zabytków sztuki — zajrzałem do wnętrz mieszkalnych i przerażony zostałem ich brzydotą i pospolitością.

— Czy uważa pan, że pewne działy sztuki mają specjalną przyszłość przed sobą?

— Jesteśmy w przededniu wielkiego dekoracyjnego malarstwa — odpowiada profesor, — wschód i zachód zagadnienie to forsują.

Jako wyjście z kryzysu uważa artysta zastąpienie prywatnych mecenasów, których niema, mecenatem państwa, organizacjami społecznemi.

— Oczywiście inicjatywa powinna być oddana w dobre ręce — silnie pokreśla p. Jastrzębowski, — aby pieniądze nie szły nadarmo.

— Jaki jest stosunek pana do najnowszych prądów w sztuce?

Każdy przejaw nowy jest niezmiernie pożyteczny i potrzebny. Tylko trzeba pamiętać, że eksperymenty, to nie jest ostateczna forma dzieła sztuki, że robiąc je, nie można biadać, że tego nikt nie rozumie, lub nikt nie chce nabyć.

— Jakie miejsce zajmuje polska plastyka we współczesnym pochodzie sztuki, według pana?

— W sztuce polskiej istnieje niewspółmierna ilość talentów w stosunku do osiągniętych przez nie rezultatów.

— Czy należy dążyć do sztuki narodowej?

— Narodowość odbija się bardzo znamiennie w sztuce. — Zdanie swe uzupełnia profesor faktem z życia wziętym. — Na kursie instruktorów stolarskich w Zakopanem z przedziwną łatwością można było odróżnić prace Żydów od Rusinów, Niemców od Polaków. Jeżeli ktoś szczerze podchodzi do zagadnienia formy, to rasowość jego zawsze się przebije. Choćby Malczewski — dodaje p. Jastrzębowski, — to przecież niezaprzeczenie nasz człowiek, który swej polskości nie skryje za żadną maską.

Rozmowa nasza znów wraca do tak żywego tematu, jakim jest „Ład".

— Często słyszę zarzuty, powiadam, o nadmiernie ludowym charakterze wyrobów „Ładu" i o zbyt wysokich cenach.

— „Ład" wcale nie dąży do ludowości, — wyjaśnia p. Jastrzębowski, — zużytkowuje tylko polskie surowce, jak sosnę, brzozę, świerk, len i wełnę — i to daje pozór ludowości, zbliża czasem do techniki wyrobów ludowych. Ceny przedmiotów wykonanych w „Ładzie" dziś już ogromnie potaniały, ale jest to placówka eksperymentalna, a eksperymenty muszą kosztować. Dziś już umiemy równie dobrze farbować wełnę, a o połowę taniej, niż na początku.

Każdy sprzęt przez nas wykonany — to nie masowa produkcja, tylko oryginalny pomysł artysty, a ceny mebli są jednak niższe od cen żądanych w innych wytwórniach.

„Ład" — jak wszystko zresztą — może podlegać krytyce, jednak, — z entuzjazmem dodaje profesor — już zrobił swoje, spełnił zadanie podniesienia wytwórczości krajowej w dziedzinie tkactwa na wyższy szczebel, wyrobił w szerokich kołach fabrykantów smak estetyczny, zrodził zapotrzebowanie wśród społeczeństwa na lepsze tkaniny.

HENRYK KUNA

Idąc do pracowni Henryka Kuny, jesteśmy już niejako zgóry przygotowani, że rozmowa za punkt wyjścia musi obrać pomnik Mickiewicza, przeznaczony dla Wilna.

Praca nad tem dziełem zajmuje całkowicie myślowo i fizycznie artystę; pracownię jego wypełniają części drewnianego modela wielkiej postaci wieszcza, która następnie zostanie odlana w bronzie. Z syntetycznego kształtu bryły pod mistrzowską ręką Kuny wydobywają się subtelne formy — główną troską jest obecnie wydobycie wspaniałego wyrazu twarzy Mickiewicza, nadanie życia potężnemu ramieniu i dłoni przysłaniającej oblicze poety.

Praca nad płaskorzeźbami kutemi w granicie, które zdobić mają cokół, w innej odbywająca się pracowni — absorbuje również bardzo artystę.

Patrząc na jego drobne ręce i ważąc w dłoni mały odłamek granitu, nie można się powstrzymać od dania wyrazu zdziwieniu — skąd bierze się tyle siły, takiej zwykłej fizycznej siły?

Odpowiedź na to, jak wszystkie inne udzielone, prosta: „wewnętrzna pasja twórcza dodaje sił, które właściwie niewiadomo skąd się biorą" — mówi Kuna.

Na zapytanie, czy warunki w naszym kraju sprzyjają rozwojowi twórczości, czy też działają hamująco przez brak muzeów i stałego kontaktu z zagranicą, artysta odpowiada, że wprawdzie sama przechadzka po ulicach Paryża już

działa zapładniająco, ale i tu w Polsce można dla siebie znaleźć odpowiednie warunki pracy, chodzi tylko o to, aby mieć co powiedzieć, aby mieć bogatą wewnętrznie treść.

„Z mojej pracowni widzę wieże Św. Krzyża i na nie chętnie spoglądam, one dają mi sekundy wypoczynku przy pracy"...

Z pewną rezerwą odnosi się naogół p. Kuna do wyjazdów zagranicę odbywanych przez młodych artystów. Nie neguje ich dodatniego wpływu, ale zaznacza, że artyści powinni wyjeżdżać już po odbyciu w kraju systematycznych studjów.

„Oglądając współczesne, doskonałe zresztą dzieła Matisse'a czy Picasso, tak ogromnie cenionych na rynku paryskim, młodzi wyobrażają sobie, że nic łatwiejszego, jak ich naśladować — co w rezultacie prowadzi do zgubnej maniery i dyletantyzmu. Natura oto główna nauczycielka" — dodaje p. Kuna.

— Jaki ma pan sposób pracy, czy oddaje się jej pan systematycznie, czy okresami?

— Codzień o 8-ej rano jestem już w pracowni, systematyczną pracę uważam za konieczną i nieodzowną. Natchnienie to tylko chwila — mówi artysta, — w której przychodzi pomysł. Długo nosi się go w sobie, wizje projektu towarzyszą na przechadzce, ulubionym moim wypoczynku, a potem następuje okres wytężonej, stałej pracy.

— A gdzie najlepiej pan wypoczywa? — zapytuję.

— Odpoczynek najpełniejszy — to chwile spędzone nad morzem.

Rozmowa teraz skierowuje się na tematy zasadnicze, dotyczące stosunku treści do formy w dziele sztuki.

— Temat w dziele sztuki może istnieć, bo wszak istniał w arcydziełach Giotta, Leonarda da Vinci lub Michała Anioła — ale łączył się z pierwszorzędnemi rozwiązaniami formalnemi.

Co do wyboru tematów, to bardzo ciekawie wyjaśnia p. Kuna, że pewien kształt bloków marmuru, drzewa czy kamienia sugeruje mu często pewne rozwiązania treściowe, że unikając wszelkich łatwizn, a odwrotnie wyszukując trudności, rzeźbi wtedy bez modela.

— Czy interesują pana portrety?

— Owszem, nawet dość często je rzeźbię, ale nie są to płatne zamówienia. Portretuję tylko tych ludzi, którzy są dla mnie, z punktu widzenia plastyka, interesujący.

— Jaki jest stosunek pana do tak zwanego modernizmu, do kierunków awangardowych w sztuce?

— Zasadniczą rzeczą dla mnie jest moment wzruszenia. Modernizm abstrakcyjny nie działa na mnie, bo nie wzbudza stanów uczuciowych. A zresztą, niech każdy tworzy tak, jak chce, byleby nie szedł na kompromisy z samym sobą, byleby był twórczy a nie nudnie naśladowczy! Aby zainteresować szeroki ogół, też nie należy się zniżać ugodowo — ale trzeba się starać masy podciągnąć na wyższy poziom sztuki.

— Czy istnieje według pana kryzys w sztuce?

— Oczywiście — kiwa głową artysta, — istnieje, jak we wszelkiej dziedzinie dzisiejszego życia intelektualnego.

Proste bryły architektury nowoczesnej, użytkowej po części, rugują rzeźbę i malarstwo. Zmiana warunków społecznych utrudnia zbywanie dzieł.

— A może gdyby wynaleziono inną formę, włożono inną treść — przystępną dla ogółu — możeby zdołano zainteresować wszystkich — i zginąłby kryzys w sztuce?

Zapytuję wkońcu, którą z dawnych epok artysta lubi najbardziej, czy zechciałby wymienić jakichś artystów dawnych i współczesnych, których ceni przedewszystkiem.

— Grecja i gotyk, oto dwa potężne bodźce — mówi Kuna. — Gotyk Francji — to było uderzenie w łeb. Przed przyjazdem do Paryża zdawało mi się, że wszystko umiem, — wobec katedr gotyckich uczułem się małym i bezradnym.

Umiar i powściągliwość sądu, które cechują wypowiadanie się artysty we wszystkich sprawach, zaznaczają się również i w ocenie współczesnych artystów.

— Podoba mi się i rozumiem Picassa, — mówi, — bo kolor jego jest równie dobrze skomponowany, jak stary dywan perski. Cenię również bardzo Matejkę, którego dziś tylu nie chce uznać. Posiadamy wielką ilość talentów, brak im tylko wkładu pracy. Sztuka polska ma przed sobą daleko idące możliwości. Przyszłość należy do narodów słowiańskich, które się jeszcze nie wyżyły, zachowały jeszcze świeżość twórczości.

Sztuka narodowa nie da się sztucznie wytworzyć, nikt nie uczył być Polakami w twórczości ani Wyspiańskiego i Chełmońskiego, ani Żeromskiego, a polskość bije z każdego ich szkicu, z każdej kartki ich dzieł.

J. Puciata-Pawłowska

H. Kuna. Pomnik Mickiewicza





Henryk Kuna

W najbliższym numerze „Świata" mówić będą o sobie rektor T. Pruszkowski i prof. W. Skoczylas

CHARLES MURRAY

W poszukiwaniu sensacji



...otyły Chińczyk z dobrotliwym uśmiechem...

„Przedmiot swoich marzeń i cel naszej podróży — nastrój Wschodu, — znajdziesz właśnie tutaj", mówił Karol Gould do poślubionej niedawno żony. „Są tu rdzawoczerwone domy, kręte i brudne uliczki, a wszystkie rasy świata, wszystkie barwy ludzkiej skóry stykają się tu ze sobą. Tu wielkie miasto wyrzuca swoje szumowiny. Od czasu do czasu ktoś zniknie bez śladu i nikt się nie spyta, co się z nim stało. Ba, nawet kogut po nim nie zapieje, jak mówi angielskie przysłowie".

„Głupstwa pleciesz! Próżne zawracanie głowy", — przerwała mu gniewnie młoda żoneczka. — „Zachowaj te bajki do najbliższego swego feljetonu. Mnie tem nie zaimponujesz. To, co dotąd widziałam w tak szumnie przez ciebie opisywanem wschodniem mieście, znajdę i w British Museum".

Karol Gould był reporterem największego londyńskiego dziennika. Przejmującemi opisami świata mroków i podziemi rozpłomienił wyobraźnię czytelników. Zdobył też serce i rękę ślicznej Liljan.

Na jej usilne prośby spędzają miodowe miesiące w tych dzielnicach Londynu i Paryża, które on opisywał w swych reportażach z takim nerwem i tak zajmująco. Siedzą właśnie przy małym stoliczku, we wschodniej restauracji „pod siedmiu tysiącami gwiazd".

Lecz zamiast silnych wrażeń tak przez nią oczekiwanych spotyka młodą kobietę rozczarowanie.

„Spojrzyj tylko dokoła — grymasi, pogardliwie wzruszając ramionami. — Czyż widać na którejkolwiek z tych twarzy coś tajemniczego? Gdzież są ci nicponie o oczach zbójeckich, których tak wyraziście opisywałeś? Już ci zupełnie nie wierzę!"

To mówiąc z gniewnym błyskiem oczu odwróciła się od męża.

„Uspokuj się Liljan. Zbliża się mój przyjaciel Wang Po, właściciel tej restauracji. Wyświadczyłem mu niegdyś dużą przysługę. I wyobraź sobie, że jej nie zapomniał. Bądź dla niego uprzejma, najdroższa, bardzo mi na tem zależy".



...czerwone ściany zawirowały w jej oczach...

Zbliżał się ku nim dość otyły Chińczyk, z okrągłą twarzą i dobrotliwym uśmiechem. Miał na sobie europejskie świetnie skrojone ubranie.

Karol wstał i podszedł do niego.

„Cieszy mnie bardzo, że pana widzę. Żałuję tylko, że nie mogę przedstawić pana mej żonie. Jest w tej chwili bardzo rozdrażniona. Nie widzi tu tych ponurych figur, o których czytała w moich reportażach. Ani ludzi wyglądających na zbrodniarzy, ani w niczyich oczach śladów knowań straszliwych. Jest głęboko rozczarowana".

Wang Po z zagadkowym uśmiechem patrzał za oddalającym się przyjacielem, który zajął z powrotem swe miejsce obok żony.

„Co za wstrętna dziura ta restauracja, — kaprysiła Lidjan. — Banalna! Chodźmy stąd zaraz!"

Gould zgodził się natychmiast i wraz z żoną skierował się ku wyjściu.

Byli już blizko drzwi, gdy mongolski kelner, niosący przed sobą tacę z filiżankami, wsunął się jakoś pomiędzy nich dwoje, zatarasował przejście między stolikami i odgrodził Liljan od męża.

Zamiast usunąć się z drogi, mongoł coś długo i obszernie tłomaczył młodej kobiecie łamaną angielszczyzną.

Gdy wreszcie odszedł, mąż jej gdzieś przepadł i nigdzie go nie mogła dojrzeć. Szła przed siebie niespokojnie, wypatrując jego barczystej sylwetki.

Wtem poczuła dotknięcie czyjejś ręki.

„Widziałem, mister Gould tam wejść", bąkał ten sam mongolski kelner. Wskazywał na czerwono lakierowane drzwi w głębi sali.

„Czy jesteś pewien?", badała Liljan niedowierzająco.

„Tak, napewno" — twierdził stanowczo kelner i otworzył przed nią drzwi.

Z wahaniem przestąpiła próg. W tej samej chwili zatrzasnęły się za nią podwoje.

Z lękiem obejrzała się za siebie i zobaczyła znowu mongoła, który wskazywał szkarłatną zasłonę wprost wejścia.

„Mister Gould tam".

Spojrzała nieufnie na żółtą twarz. Jednak odsunęła kotarę i weszła. Znalazła się w pustym pokoju. Tylko szeroki tapczan stał wśród czerwono udrapowanych murów. Nie było ani drzwi, ani okna.

Panowała tu grobowa cisza.

Przerażona, chcąc zawrócić, szarpnęła gwałtownie zasłonę, lecz zobaczyła za nią tylko gładką ścianę.

Zrozumiała, że jest więźniem, odciętym od świata. W rozpaczy zaczęła tłuc drobnemi pięściami w zaporę, która zamykała jej odwrót.

„Pani napróżno kaleczy swe piękne rączki", — usłyszała nagle koło siebie spokojnie wymówione słowa. „Uprzedzam panią, że głos ludzki nie może się przedostać przez te grube mury".

Z okrzykiem trwogi obróciła się i ujrzała zastygłą w bezruchu twarz Wang Po.

Lecz jakże się zmienił!

Miał na sobie bogato haftowaną szatę mandaryna. Demonicznie błyszczały jego oczy, zaciśnięte usta tworzyły wąską szparę, a paznogcie u rąk, pokryte złotemi, spiczastemi kolcami, przypominały pazury drapieżnego ptaka. Był złowrogi i tajemniczy.

Zbliżał się ku niej.

Nie namyślając się ani chwili, uderzyła mocno tę żółtą twarz, a zęby jej wpiły się głęboko w rękę Chińczyka.

„Nie waż się mnie dotknąć" — charczała. „Mój mąż"...

„Mąż... ach prawda! Zapomniałem o nim. Jego musimy się pozbyć najpierw".

Klasnął w dłonie. Rozsunęła się zasłona i mongoł, który zwabił Liljan w pułapkę, ukazał się znowu pod ścianą. Wang Po, w nieznanym języku, wydał mu rozkaz. Służący z rękawa wydobył długi nóż i ukłoniwszy się nisko, zniknął bezszelestnie.

„Litości... tylko nie to... miłosierdzia", — błagała Liljan, wijąc się w rozpaczy.

„Za kilka minut będzie po wszystkiem" — odparł Wang Po.

Nogi się pod nią ugięły, czerwone ściany zaczęły wirować w jej oczach. Nadludzką siłą woli pokonała omdlenie i stała, przerażona. Po chwili mongoł wsunął się z powrotem bezszelestnie jak cień. Długie ostrze noża, który trzymał w ręku, było zbroczone krwią. Czerwone krople złowrogo kapały na dywan.

Wstrząsający okrzyk wydarł się z piersi Liljan. Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ręki, wsuwając jakiś chłodny przedmiot. Zacisnęła palce. Trzymała w ręku mały rewolwer.

Tyle oszałamiających nadzwyczajności doznała w tak błyskawicznem tempie, że nawet nie zadała sobie pytania, skąd jej przybywa ta niespodziewana pomoc. Skierowała lufę ku zagradzającym jej drogę mongołom. Zacisnąwszy zęby, pociągnęła kurek raz... dwa... Jeszcze nie zdążył przebrzmieć huk wystrzałów, a już kelner dziwnie niezdarnie przewrócił się na podłogę. Zaraz potem zwaliła się na niego ciężka figura Wang Po.

Instynktownie odrzuciła rewolwer i zwróciła się ku wyjściu.

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej rozsunęła się przed nią szkarłatna zasłona, rozwarł się jakiś otwór w ścianie i ukazał się długi korytarz. Napół przytomna znalazła się na ulicy, w objęciach męża.

„Karolu, więc cię nie zamordowali?..."

„Czemuż mnie mieli mordować?" — odparł ze zdziwieniem. — „Powiedz lepiej, gdzieś była. Szukając ciebie — o mało na śmierć nie zamarzłem. Rozglądałem się za tobą na wszystkie strony, szukałem przy wszystkich wyjściach, chodziłem po zakamarkach całej restauracji — wszystko napróżno. Gdzież byłaś?"

„Ach najdroższy, o nic nie pytaj. To takie straszne! Zawieź mnie czemprędzej do domu... pragnę spokoju i wypoczynku".

Karol skinął na przejeżdżające auto i pomógł żonie zająć miejsce.

A tymczasem Wang Po już zdążył z pomocą mongoła przedzierzgnąć się z powrotem w uprzejmego, po europejsku ubranego właściciela restauracji.

Z uśmiechem pobłażania na ustach lecz nie bez ironji mówił do siebie, wyciągając puste patrony z rewolweru.

„Szczęśliwy jestem, że zdarzyła mi się sposobność oddania temu miłemu człowiekowi chociaż tak drobnej przysługi. Przyznać jednak trzeba, że ci biali mężczyźni są wobec kobiet jak zbutwiałe szmaty".

Przełożyła *M. Michalecka*



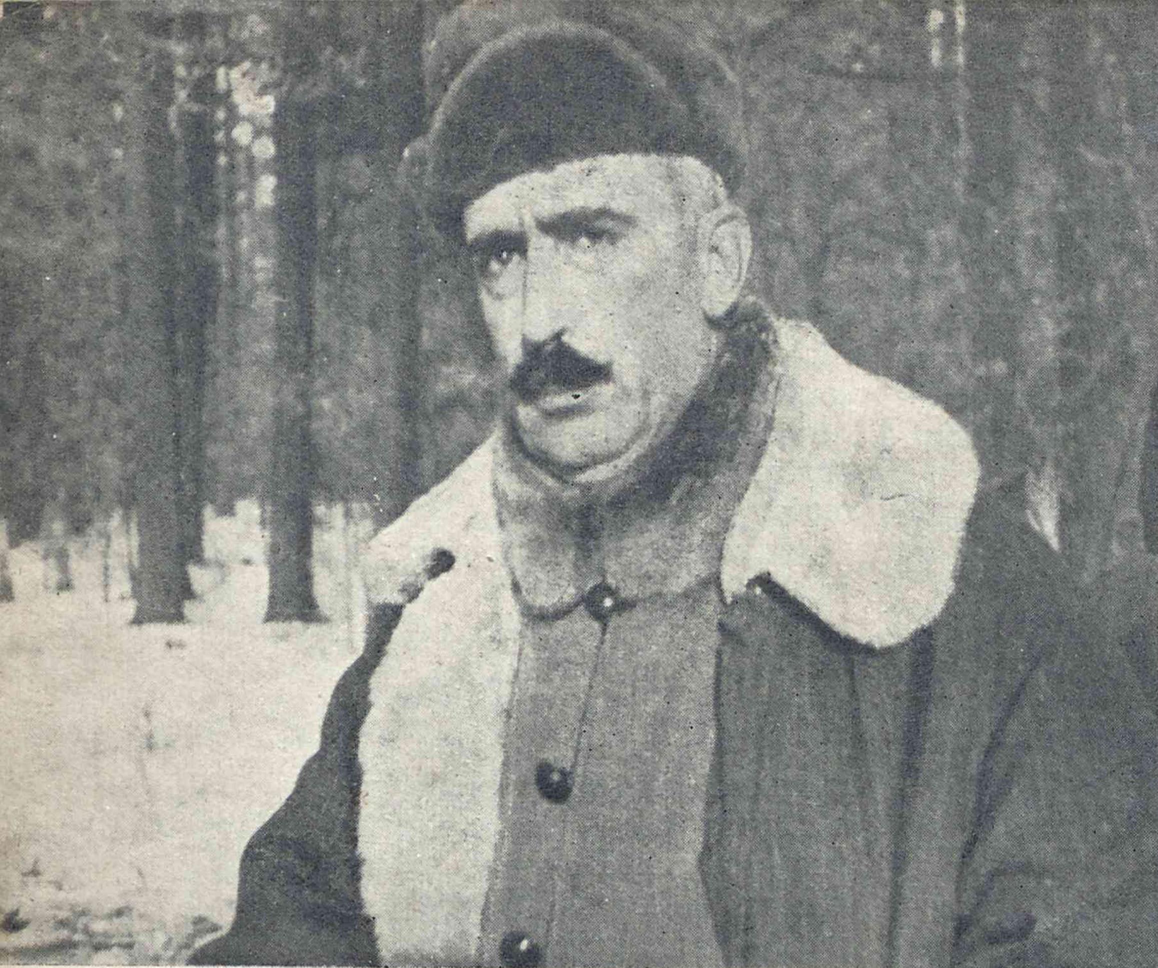
...stykały się tu wszystkie rasy świata... Fot. Worobejczyk

...we wschodniej knajpie „pod 7000 gwiazd"...



POLOWANIE NA DZIKI

U KS. JANUSZA RADZIWIŁŁA W OŁYCE





Idą ...... przemknęło przez myśl równocześnie wszystkich myśliwych, stojących na stanowiskach, gdy na prawem skrzydle naganki raptem zawrzało, a pojedyńcze dotychczasowe nawoływania naganiaczy zlały się w jedną wrzawę, ponad którą wyrywał się tylko pisk paru naganiaczek, lub też rozlegało się niskim tonem: „a kudy! a kudy!"...

Nie było wątpliwości, że dziki, tak mozolnie od samego świtu otropione przez gajowych, idą rzeczywiście.

Wrzawa stopniowo przesuwała się z prawego skrzydła ku środkowi, potem przycichła i tylko pojedyńcze hukania dochodziły z głębi kniei, pokrytej lekkim szronem i ozłoconej porannemi promieniami styczniowego słońca.

Na linji myśliwych i tak panująca cisza jakgdyby się jeszcze wzmogła. Słychać było tylko nieco przyspieszone uderzenia własnego serca i jakiś dziwny szept, idący od drzewa do drzewa, od gałęzi do gałązki, przerywany osypującym się szronem gdzieś ze szczytów drzew, strąconym cieplejszym promieniem słońca i szeleszczącym po suchych liściach dębowych. Wzrok i słuch myśliwych wytężony do najwyższego stopnia łapał te szelesty, biegł dalej, wsłuchując się w tę zaczarowaną ciszę, stwarzał złudzenie jakby chrzęstu idącego zwierza. Lecz nie — to tylko wyobraźnia. Cisza zupełna.

Wtem coś w dalekiej ledwie dostrzegalnej luce wśród gęstwiny leśnej przemknęło.



Zdjęcia nasze przedstawiają kolejno od góry: 1. ks. Janusz Radziwiłł. 2. Od lewej: hr. Wład. Zamoyski, księżna Januszowa Radziwiłłowa, hr. Skórzewska, hr. Józef Potocki, ks. Karol Radziwiłł, ks. Janusz Radziwiłł, ks. Hubert Lubomirski

Myśliwi wyruszyli w knieję.

Grupa dzików





Od góry: 1. Naganka. 2. Naganka na saniach

Idą .... znów przemknęło przez myśl myśliwego.

Parę silniejszych uderzeń serca, jeszcze bardziej wytężony wzrok i ..... to zając nie spiesząc się, gdyż wie, że mu teraz nic nie grozi, powoli, kucając, zbliża się zygzakiem ku myśliwemu i, jakgdyby kpiąc sobie z niego, siada o kilka kroków zaledwie od niego, strzygąc uszami i nasłuchując dalekich ech idącej naganki. Po chwili namysłu rusza dalej, wolno przechodząc linję i niknie w gęstwinie. I znowu cisza...

Gdzieś przez linję śmignął lis.

Po chwili do uszu myśliwego dolatuje tentent i w dużych susach z gęstwiny leśnej wypada sarna, za nią druga i trzecia. Stają, rozglądają się wokoło, znów ruszają wolnym krokiem; wtem jedna z nich staje, podnosi głowę, spogląda wprost w stronę myśliwego — spostrzegła go. Robi jeszcze mały ruch głową w prawo i w lewo ...... tak, to człowiek. Jeden wielki skok, potem drugi i trzeci, skok przez linję i już jest znowu w lesie, za nią podążają inne.

Naganka się zbliża; już coraz wyraźniej słychać uderzenia pałkami o pnie drzew. Na lewem skrzydle linji pada strzał pojedyńczy, potem drugi i trzeci, potem czwarty, piąty i szósty. Widać, jak przez linję przewalają się czarne cielska paru większych sztuk, potem drobnemi susami przeskakują warchlaki. Znów strzał i równo-



Myśliwi dążą na stanowiska.

Niezmiernie rzadkie zdjęcie: lis przebiegł tuż przed myśliwymi



czesny z nim kwik postrzelonego warchlaka, jeszcze jeden strzał, potem drugi i cisza. Stado poszło, ile padło — niewiadomo. Strzałów było pięć, sześć, dziewięć...

Wtem nawprost myśliwego rozlega się trzask złamanej gałęzi, jeszcze moment i w oszronionej białej gęstwinie miga czarna masa. Ukosem, wyciągniętym kłusem idzie ku linji „pojedyniec". Jeszcze chwilę, jeszcze jeden moment, tu pomiędzy temi drzewami, w tej luce..... Pada strzał..... Dzik, jakby podrzucony czemś do góry, rusza jeszcze prędzej, lecz już nie ma tej siły prącej naprzód, widać, że ucieka, że się zmaga z głębokim śniegiem, który przedtem ciął przodem, jak pługiem. Przebiega jeszcze pełnym pędem linję, lecz drugi celny strzał kładzie go na miejscu.

Jeszcze kilka strzałów, potem krótka wrzawa wśród zbliżającej się naganki. To jakaś sztuka zdołała przebić się w tył przez naganiaczy i ujść z życiem.

Po chwili na linję wysypują się, wyciągając w kilku miejscach zabitą zwierzynę, różnorodnie ubrani naganiacze z zaciekawionemi twarzami, ile też sztuk padło.

A padło ich czterdzieści w ciągu czterech dni polowania w lasach księcia Janusza Radziwiłła w Ordynacji Ołyckiej na Wołyniu.

Stefan Plater-Zyberk

* * *



Przy śniadaniu w kniei, siedzą: hr. Józef Potocki, ks. Karol Radziwiłł, hr. Skórzewska, ks. Januszowa Radziwiłłowa, hr. W. Zamoyski, ks. H. Lubomirski

Polowanie na dziki u ks. Janusza Radziwiłła w Ołyce odbyło się w ścisłem kole rodzinnem. Trwało ono cztery dni. Na cztery dni grono myśliwych zamieszkało w głębi lasów, w samotnej leśniczówce — gdzie po trudach łowów wypoczywano wieczorami w ciszy śniegowej puszczy.

Poranne i południowe posiłki gromadziły uczestniczki i uczestników łowów dookoła stołów rozstawionych w lesie na śniegu. W bliskości stołów malowniczo rozkładał się cały obóz naganki, sań, koni i trofeów łowieckich. Na chwilę las zapełniał się wesołością i gwarem. W prostocie otoczenia wesoło połyskiwały w słonecznych blaskach srebrne talerze i zastawy. Brylantowe płatki śnieżne na rzęsach i włosach pań skrzyły się radośnie, odmieniając radykalnie nastrój trudnych łowów na wesołe śmiejące rodzinne zebranie.

W łowach otyckich oprócz księżnej Januszowej i ks. Janusza Radziwiłłów wzięli udział: syn ich wraz z narzeczoną — córką ks. Karola Rodziwiłła, ks. Karol Radziwiłł z Mańkiewicz, Józef hr. Potocki — naczelnik wydziału zachodniego w M. S. Z. — wraz z małżonką, córką ks. Janusza Radziwiłła; Władysław hr. Zamoyski, Hubert ks. Lubomirski; hr. hr. Skórzewscy z Poznańskiego oraz hr. Clari Aldringen.

Na łowach, w których wzięło udział tych kilka wytrawnych strzelb, padło 40 dzików.



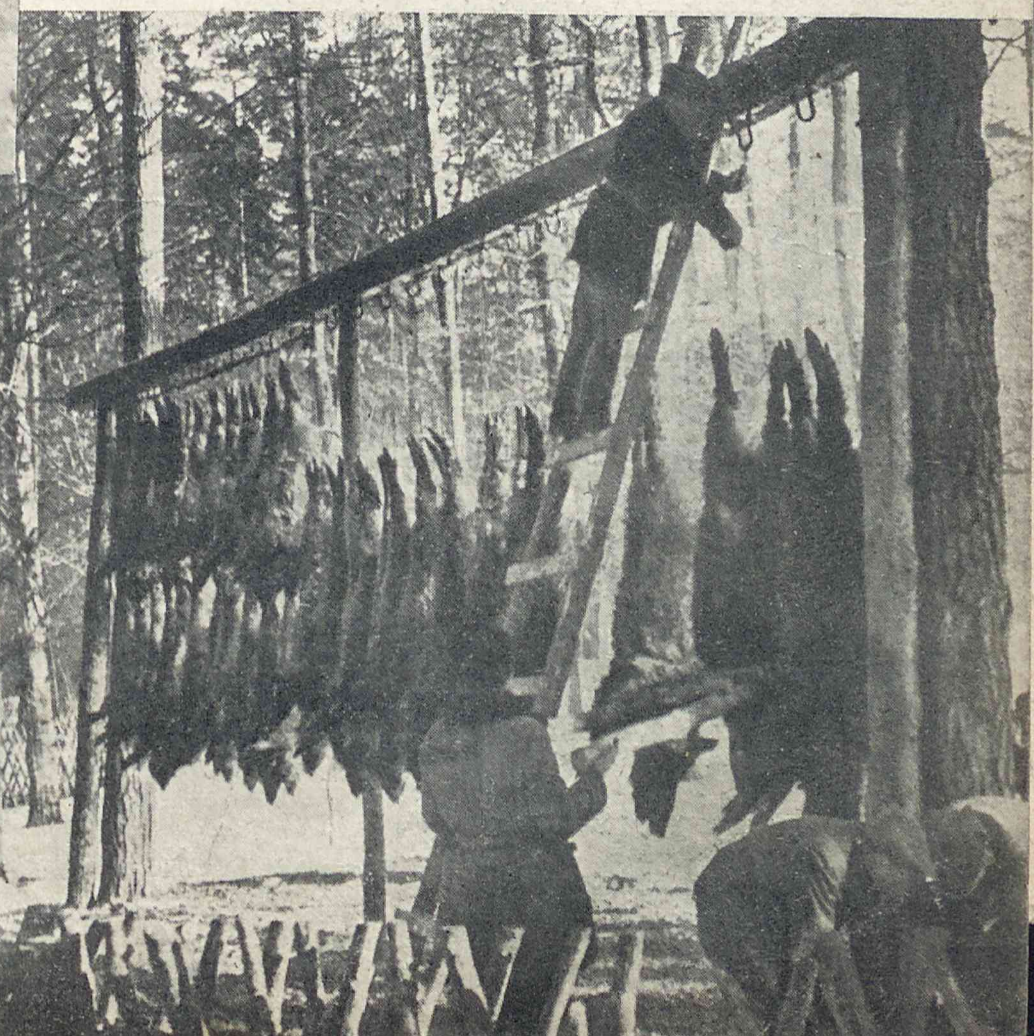
Ks. Karol Radziwiłł na stanowisku



Ożywione sceny z polowania



40 dzików zawisło jako trofea





Na śniegu spożywano dary Boże w wesołym nastroju

Wszystkie zdjęcia Photo-Plat

Z tych nader rzadkich łowieckich godów Redakcja „Świata" zdołała zapewnić sobie wyłączność licznych i ciekawych zdjęć, zamieszczonych w niniejszym numerze.

Jeden z gości ks. Janusza Radziwiłła, hr. Stefan Plater-Zyberk, skreślił dla czytelników „Świata" swe żywe wrażenia łowieckie.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Obrona morza

(Wig.) Dnia 10-go lutego r. b. upływa 14 lat od czasu objęcia przez Polskę wybrzeża Bałtyku. Skromny to skrawek, ale tem cenniejszy i droższy. W ciągu tak krótkiego czasu zdążyliśmy zamanifestować swe przywiązanie do morza masowemi wyjazdami letniemi na plaże i wykazać zrozumienie jego doniosłości — przez budowę Gdyni.

Teraz staje nowy problemat: obrona morza, więc fortyfikacje nadbrzeżne i flota wojenna. Sprawa ta została mocno postawiona podczas zeszłorocznego „Święta Morza" przez zapoczątkowanie Funduszu Obrony Morza. Datę 10 lutego obrano, jako dzień powołania do życia tej instytucji. Na czele jej staje gen. Sosnkowski, wielokrotny minister spraw wojskowych, człowiek znany ze swej energji, rozumu i szlachetności uczuć.

Można być pewnym, że pod jego zarządem Fundusz Obrony Morza szybko wzrośnie i zacznie wydawać wspaniałe owoce w postaci coraz to nowych jednostek bojowych naszej floty.

Postawiliśmy w ciągu kilku lat port gdyński, który zajął już pierwsze miejsce na Bałtyku. W niedłuższym czasie musimy wytworzyć siłę morską, któraby ten port potrafiła obronić.

Wizyta moskiewska

(V.) Od wizyty p. komisarza ludowego Cziczerina w Warszawie do rewizyty p. ministra Becka w Moskwie upłynęło wiele czasu. Ale wypełniła ten okres stała, konsekwentna, niezrażająca się niczem polityka polska wobec Rosji Sowieckiej, zmierzająca do rozproszenia nagromadzonych tam podejrzliwości i uprzedzeń. Polityka ta dziś uwieńczona została całkowitem powodzeniem. Zawarcie paktu o nieagresji i wyjazd p. Becka do stolicy Z. S. R. R. świadczą o zupełnej pacyfikacji na tej granicy, która najdłużej widziała łuny wojenne i najpóźniej została nakreślona na mapie Europy. Dziś jest ona trwalsza i spokojniejsza od każdej innej.

Podrażnieni widzowie

(K.) Lwów ma dobre teatry, dobrych reżyserów i przeważnie dobrych aktorów, tylko publiczność niekiedy zawodzi.

Ostatnio grano tam dwie sztuki cieszące się powodzeniem: „Stefek" i „Pieniądz nie jest wszystkiem", co najzupełniej nieoczekiwanie doprowadziło do oryginalnych demonstracji. Do dyrekcji teatru zgłaszali się przedstawiciele różnych zawodów, a więc: monterzy, studenci weterynarji, aptekarze, z wyrazami pretensji i żalu, że bohaterzy tych sztuk, będący przedstawicielami ich specjalności, są przedstawieni w świetle ujemnem. Czy się przypadkiem szanowni delegaci nie ośmieszyli? Trudno bowiem wymagać, aby autorzy dramatyczni wprowadzali do swych utworów postacie fikcyjne i obierali sobie za bohaterów marsjan lub selenitów.

Wojna węglowa z Anglją

(V.) Zamówienie przez Polskę dwóch statków transoceanicznych w stoczniach włoskich wywołało wielkie niezadowolenie prasy angielskiej. Nawet powściągliwy „Times" oświadczył, że odpowiedzią na to powinno być zbojkotowanie towarów polskich, przedewszystkiem bekonów i jaj.

Nie przyszło pismom londyńskim do głowy zbadanie, czemu to Polska dała pierwszeństwo mniejszym stoczniom włoskim przed największemi na świecie warsztatami okrętowemi Anglji. A przecież sprawa jest tak prosta: Włochom zapłacimy za statki węglem, gdy Anglja zrobiła wielką kwestję z powodu 1600 ton węgla, dostarczonego jej z Polski. Czyż w czasach „handlu kompensacyjnego" nie jest to motyw rozstrzygający?

Nawet warszawski korespondent „Timesa" musiał przyznać, że polska polityka handlowa nie kieruje się jakiemiś sympatjami, lecz postępuje zgodnie z interesem kraju i wskazaniami ekonomiki. Ze strony polskiej czyniono niejednokrotnie próby porozumienia się z Anglją co do podziału terenów eksportu węgla; niestety, nie mogło ono dojść do skutku z winy Anglików.

Krowa i konflikt austro-niemiecki

Mała wioska bawarska Sachrang, na granicy Tyrolu, nie ma własnego weterynarza. Bydło tam jest zdrowe, jak zresztą, zdrowi są i ludzie. Atoli niedawno jedna krowa zachorowała i to krowa, która dawała wyjątkowo dużo mleka. Co zrobić? Najbliższy weterynarz mieszka w Austrji, zagranicą, a za przekroczenie granicy do Austrji obywatel Rzeszy musi płacić tysiąc marek. Właściciel krowy zatelefonował tedy do weterynarza — telefonować do Austrji wolno! — aby stawił się na linji granicznej. Sam zaś, w towarzystwie strażnika granicznego, poprowadził krowę na umówione miejsce. Podczas badania krowy austrjacki weterynarz znajdował się na terytorjum austrjackiem, a niemiecka krowa tylko łeb swój przerzuciła nad linją demarkacyjną. Po zbadaniu krowiny i udzieleniu rady, weterynarz wyciągnął rękę po honorarjum. Przyjął je w markach niemieckich. Wszyscy byli zadowoleni, a najbardziej strażnik, że przepisy graniczne nie zostały pogwałcone.

Dowód nieposiadania własności

(K.) Kamer jest robotnikiem. Mieszka i pracuje w Warszawie. Pewnego dnia zjawia się u niego sekwestrator z urzędu skarbowego i żąda zapłacenia podatku za prowadzenie sklepiku, obecnie już zwiniętego. Napróżno Kamer tłomaczy się, że nigdy żadnego sklepu nie posiadał, że jest robotnikiem w wędzarni śledzi i że chodzi tu zapewne o innego Kamera. Sekwestrator jest nieubłagany; opisuje rzeczy, grozi licytacją i oświadcza, że urzędowe swe czynności wykona, jeżeli Kamer nie przedstawi mu dowodu, że nigdy nie był właścicielem tego sklepu. Przerażony robotnik chce się bronić. Porzuca pracę w wędzarni śledzi i postanawia sam odnaleźć właściciela sklepu. Pierwszy krok się nie udał. Kamer-robotnik nie odszukał Kamera-sklepikarza. Szuka wobec tego świadków, którzy mogą zeznać, że znają go osobiście jako robotnika wędzarni. Tych znajdzie napewno. Czy jednak urząd skarbowy uzna te zeznania za wystarczający dowód nieposiadania sklepu? I czy, co ważniejsza, gdy te perypetje miną, Kamer znajdzie pracę?

Nowe publikacje Polskiego Instytutu Współpracy z Zagranicą

(W. St. R.) Ożywiona działalność wydawnicza instytutu tego, mająca za zadanie informowanie oświeconej opinji międzynarodowej o Polsce i o najżywotniejszych zagadnieniach naszego życia kulturalnego i politycznego, posiada już w swym dorobku szereg cennych pozycyj.

W ostatnich dniach ukazała się

w języku angielskim broszurka pod tytułem *The Truth About Pomorze,* podającą treść odczytu, który wygłosił *Sir Christopher Robinson* w Angielskiem Stowarzyszeniu Ligi Narodów w Watford. Autor, znany na gruncie brytyjskim prawnik i polityk, bawił w Warszawie wiosną roku ubiegłego na zaproszenie prezesa Instytutu Współpracy z Zagranicą D-ra H. Grubera. Po powrocie do kraju Sir Christopher Robinson prowadzi bardzo ożywioną działalność na korzyść Polski. Żywa treść i przekonywujące argumenty, poparte danemi zaczerpniętemi z historji, etnografji ziem pomorskich oraz wyjaśnienie roli gospodarczej, jaką posiada Pomorze dla Polski, czynią z tej z wielką siłą przekonania napisanej broszurki doskonałe źródło informacyj o tem zagadnieniu dla szerokich kół opinji krajów anglosaskich.

Nader interesującym pomysłem jest wydanie przez tenże Instytut broszurki pod tytułem *Pomorze in British Eyes,* zawierającej na stu kilkudziesięciu stronach artykuły lub wyciągi z artykułów dotyczących Pomorza z szeregu dzienników i czasopism brytyjskich.

Artykuły te zaczerpnięte z poważnych czasopism (The Times, The Observer, The Slavonic Review, The Manchester Guardian i in.), podpisane przez uczonych, publicystów i polityków tej miary co R. C. K. *Ensor,* R. W. *Seton-Watson,* Lord *Hovard* of *Penrith,* prof. *W. Caldwell,* stanowią nietylko doskonałe i niebudzące podejrzeń stronniczości źródło informacyj o tem zagadnieniu dla cudzoziemców, ale są też interesującą lekturą dla czytelnika polskiego.

Goście estońscy w Polsce

W dn. 19 b. m. na zaproszenie p. ministra Stefana Hubickiego przybywa do Polski wycieczka z Estonji.

W wycieczce tej, zorganizowanej staraniem Towarzystwa Polsko-Estońskiego, bierze udział b. Naczelnik Państwa Estońskiego, obecnie prezes Parlamentu — p. Karl Einbund, prezes Najwyższego Sądu Państwowego — p. Karl Parts, minister Sprawiedliwości Spraw Wewnętrznych — p. Johan Müller oraz szereg wybitnych osobistości ze świata politycznego Estonji.

Goście estońscy zabawią w Polsce tydzień, który wypełnią zorganizowane na ich cześć uroczystości, zwiedzanie naszych stolic: Warszawy i Krakowa oraz krótki pobyt w Zakopanem.

Wystawa sztuki ukraińskiej w I. P. S.

W sobotę, dn. 10 lutego, w Instytucie Propagandy Sztuki otwarto Retrospektywną Wystawę Sztuki Ukraińskiej ze zbiorów Muzeum Nacjonalnego we Lwowie. W dziale retrospektywnym piękna kolekcja ikon cerkiewnych od XVI — XVIII wieku oraz 30 starych, niezwykle rzadkich kilimów. Pozatem wystawa obejmuje współczesną sztukę ukraińską.

Echa dyskusji na temat Pomorza w londyńskim Royal Institute of International Affairs

(W.St.R.) W marcu r. ub. w Royal Institute of International Affairs, w którego łonie działa od półtora roku Koło dla badania stosunków niemiecko-polskich, Dr. Reinhard *Heiferkorn* wygłosił referat na temat Gdańska i Pomorza. W tezach swego referatu usiłował wykazać konieczność osłabienia węzłów gospodarczych łączących Polskę z Wolnem Miastem Gdańskiem. W oddaniu zaś Pomorza i Gdańska Rzeszy widzi referent jedyny sposób uchronienia Wolnego Miasta i Prus Wschodnich przed całkowitem zdaniem ich na łaskę Polski.

W nader ożywionej dyskusji, jaka po referacie tym się wywiązała, zabierali głos zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy tezy niemieckiej. Większość jednak z pośród tych nawet, którzy uznawali niemożliwość odebrania Pomorza Polsce, stwierdzała, iż odpowiedzialność za obecny stan rzeczy na Wschodzie spada na twórców Traktatu Wersalskiego, gdyż przeprowadzili oni granicę, która nikogo nie zadowala. W dyskusji żywy udział brał znany publicysta *Augur,* który wykazał, iż oderwanie Pomorza od Polski stanowiłoby nierównie większe niebezpieczeństwo dla pokoju i byłoby nierównie większą niesprawiedliwością, aniżeli oddzielenie Prus Wschodnich od Rzeszy.

W związku z dyskusją tą oraz w związku z dawniej już powziętemi postanowieniami Koła dla badania stosunków niemiecko-polskich, Augur opracował w formie 27 tez zestawienie wyniku swych badań w sprawie Pomorza. Treściwe, zwarte, rzeczowe i całkowicie utwierdzające stanowisko polskie tezy te wydał autor w krótkiej, ale doskonale dokumentowanej broszurce pod tytułem *The „Polish Corridor" The Facts. A letter to the members of the Royal Institute of International Affairs.* Dwanaście map, szereg wykresów i przejrzystych zestawień liczbowych czynią z tej dwuarkuszowej zaledwie broszurki jaknajbardziej wszechstronne źródło informacyj, jaknajbardziej przekonywujący zespół argumentów, wyjaśniających stanowisko polskie w sprawie Pomorza.

Anegdoty teatralne

Jedna z gwiazd dawnej operetki stołecznej miała ulubioną papugę, mówiącą pięknie po francusku.

Wyjeżdżając na dłuższy urlop zagranicę, oddała papugę na przechowanie niejakiej pani Kochanowskiej, żonie stróża saskiego ogrodu, trzymającej bufet w teatrze Letnim.

Mąż bufetowej, aby mieć drogocennego ptaka stale na oku (a było to w lecie), wieszał klatkę na drzewach wejściowych do wilece pożytecznych budyneczków, któremi w ogrodzie zawiadywał. Jakież było zdziwienie i zmartwienie artystki, gdy po powrocie skonstatowała, iż jej papuga zapomniała zupełnie mówić po francusku, a po polsku nauczyła się tylko jednego zdania, które zato stale powtarzała:

— Puk, puk, puk!... Kto tam?... Zajęte!

*

Pola Negri, będąc w Londynie, odwiedziła Shaw'a i nawiązując do irlandzkiego pochodzenia pisarza — powiedziała:

— Pan i ja pochodzimy z narodów, które cierpią w niewoli.

Na to Shaw:

— Tylko, że my, irlandczycy, niewoli angielskiej nie bierzemy tak tragicznie, jak polacy swoją.

Z SALONU ZIMOWEGO I. P. S'u

St. Odrowąż-Pękalski

Portret Red. St. Poraj-Koźmińskiego









SOLSKI HRECZKOSIEJEM

Że Solski jest znakomitym artystą, o tem już ojcowie mówili, że jest nieporównanym reżyserem — nikt nie zaoponuje, że jest sprężystym dyrektorem — to też wiemy, lecz że jest hreczkosiejem, o tem mało kto słyszał. A tymczasem jest. Nie takim wprawdzie, co to ma wieś i myśli codzień, czy dziś przyjedzie sekwestrator?

Nie, bo wogóle wsi nie posiada, i z tego tytułu niechaj żaden urząd nie spodziewa się dobrowolnego czy przymusowego gotówkowego wpływu, ale dlatego, że chodzi po roli, wie, jak się to robi, żeby zboże plonowało, krowy dawały dużo mleka, a drzewa owocowały.

Dowody rolnego znawstwa, które nie wiedzieć kiedy i gdzie sobie przyswoił, zdradza dyrektor Solski, bawiąc obecnie na wsi. A że jest z natury drobiazgowy i lubi wglądać w szczegóły, więc nie gardzi i babskiem gospodarstwem. Zna się nawet na drobiu!

Solski lubi kury podpatrywać, karmi je osobiście, no a po spreparowaniu przez kucharkę spożywać. Idą mu, owe dzierlatki kurze, jak wszystko, co jest kobiecego rodu, na zdrowie.

Solski jest pozatem przyjacielem wszystkich stworzeń. Raz jest otoczony sforą psów najróżnorodniejszych ras, to znów kieruje swe kroki do stajni. Konie lubi najwięcej. Ma swego przyjaciela, który mu z ręki jada, a na głos z pola, jako że to jest koń używający swobody, przychodzi, obwąchuje ręce i kieszenie, a potem grzecznie nogą prosi.

Ten to koń codzień, przez godzinę, dwie nosi artystę na spacer.

Ludwik Solski na wsi pasjonuje się do hipiki i sam ją gorliwie uprawia. Coprawda koń jest rosły, więc znanej tuszy dyrektorskiej nie czuje zupełnie i śmiga przez pola i rowy, przez sztuczne i naturalne żywopłoty.

Zimą niema wielkiej roboty na wsi, to też dyrektor Solski uprawia gorliwie oprócz hipiki i inne sporty. Wszędzie znajdzie dla siebie pole do wyczynu.

Przechodząc koło stawu, utyskiwał, że niema w nim wody — myślał napewno o łyżwach. Dziwił się, iż gdy są takie zbocza, brakuje akurat nart (możliwe, że w czasie swego pobytu w Zakopanem bierze udział w zawodach pod pseudonimem?!).

W braku nart pokazał nam taką spinaczkę, że idące za nim towarzystwo zamieniło się w węża. Ludwik Solski znalazł się na wzgórzu pierwszy, a kiedy zziajane panie tęsknie patrzyły na wierzchołek, on już podziwiał krajobraz. Wkońcu, z westchnieniem coprawda na taki marny sport, woził panie saneczkami.

Jan Milewski

Wiązowna.

LOPEK

„Pan nie zna Lopka? — Lopek i kropka".

Powiedzonko dawno wyszło z mody, ale Lopek żyje i wciąż przybiera na wadze i wzroście.

Pospolicie Lopkiem zwany ma imię właściwie nieco inne. Brzmi ono: Elopepe. Pomysły ma coraz to oryginalniejsze i wciąż łamie sobie głowę, kogoby tu jeszcze przekonać, jak bardzo on, Elo-pepe, jest zajmujący i jak strasznie potrzebny na świecie. Ostatni pomysł był realizowany przez świetnych organizatorów. To ich zaprzysiężona tajemnica, jak podczas tak krótkiego karnawału potrafili namówić 19 młodych pań, aby porzuciły swe krawcowe i swych fryzjerów, materjały na suknie i materjały na mężów i bale i reduty dla 7-mio dniowego sam na sam z Lopkiem.

On poświęcenie zrozumiał, ocenił i zrobił, co mógł, aby wszystkim dziewiętnastu było dobrze. A więc: ustronna miejscowość, góry, doły, 2 rzeki dla miłośniczek pięknego pejzażu, gimnastyka i trochę sportu dla tych, co bez ruchu nie rozumieją życia, tajemnicze bramy i ukryte przejścia dla zwolenniczek emocji — no i dla wszystkich istotna treść siedmiu dni: kurs obrony przeciwgazowej.

Dwóch kapitanów, dwóch poruczników i jeden cywilny prelegent podzielili między siebie trudne role przewodników po nieznanej krainie gazoznawstwa.

Walka chemiczna straszyła niesamowitością samych nazw i dziwiła symfonją zapachów: akacja z musztardą, migdały z pelargonją. Byłaby podręczna maleńka apteczka, gdyby to nieco lepiej pachniało — gdyby wogóle pachniało...

Wykład miał akcenty dramatyczne, treścią swą budził smutną zadumę.

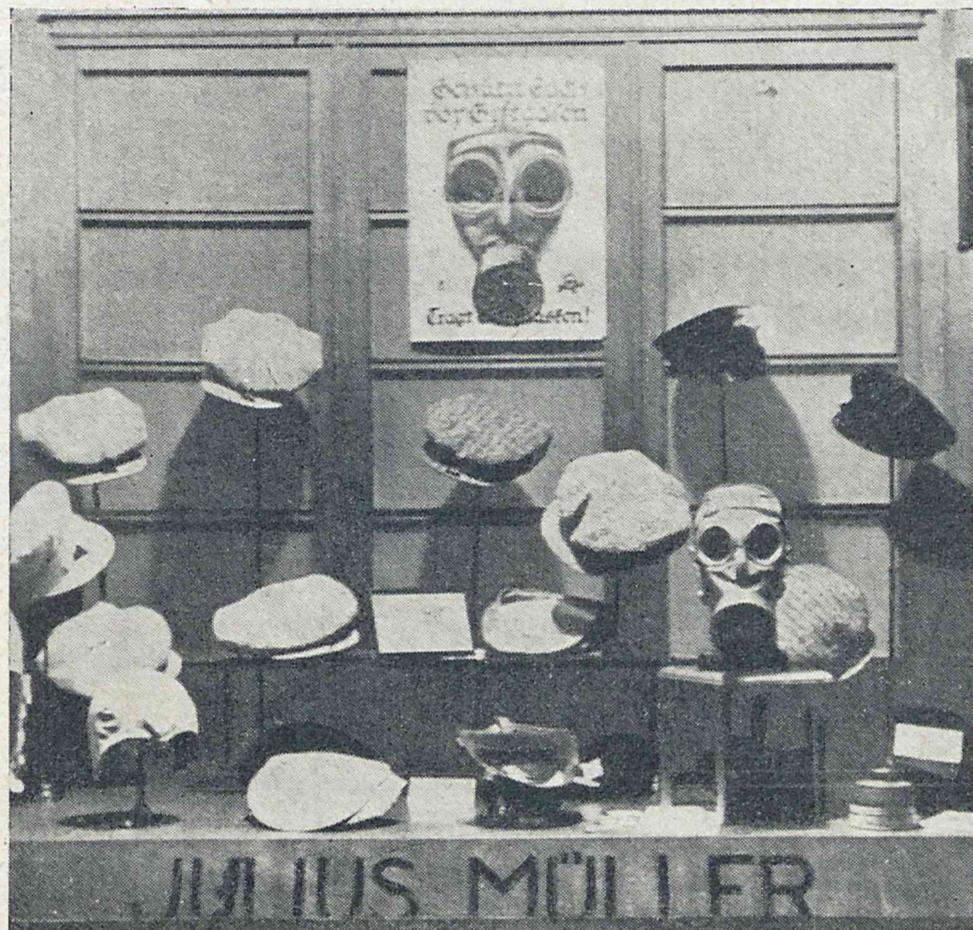
Poprzez gąszcze tych ciężkich myśli przebijał się porucznik z wesołą nowiną: na sposoby są sposoby!

W ciągu paru minut, za pomocą kilku fachowych określeń budowano wspaniałe schrony, uszczelniano wszystkie wnętrza, zakładano aparaty tlenowe. Można oddychać! —

Obrona indywidualna opiera się na zręczności i wytrzymałości wziętej z codziennego życia i dostosowanej do niecodziennych warunków. „Zapamiętaj ciasna głowo, gdzie masz taśmę zapinkową!"

Niestety, maski przeznaczone dla żołnierzy były zaluźne na te 19 otwartych głów, co miało smutne następstwa.

„Kiedy się maskę wkłada, trzeba zahamować oddech i zamknąć oczy" — objaśniał porucznik i otwierał szeroko oczy przed każdorazowem włożeniem swojej maski. W tej specjalności uczenice prędko przeszły mistrza. A kiedy już zapoznały się ze wszystkiemi komendami w czasie pogotowia gazowego, kiedy umiały maskę zepsuć i naprawić, zabrudzić i odkazić — zarządzono alarm.



Czy LOPP jest niezbędna?

Oto w Berlinie w składzie kapeluszy sprzedawane są maski gazowe jako „artykuł pierwszej potrzeby"

Dzień zaczął się od pogotowia gazowego. Puszka z maską, przewieszona przez ramię, przewędrowała z prawego biodra wysoko naprzód i przeszkadzała ile mogła przy siedzeniu, pisaniu, jedzeniu. Podczas obiadu padł okrzyk: „Gaz!" Natychmiast przerwano jedzenie, założono maski i wszyscy w szalonem tempie pobiegli do schronu umieszczonego w piwnicy. Wytworzył się nastrój, dający silne złudzenie prawdziwego niebezpieczeństwa.

Dla nowych wrażeń nie żałowano tego dnia zimnego obiadu, do którego po dłuższej dopiero przerwie można było powrócić.

Aby te wrażenia uczynić intensywniejszemi i aby zmora walki gazowej nie była tylko straszną opowieścią, odbyto ćwiczenia w komorze gazowej.

W atmosferze zagazowanej bromkiem ksylilu 19 zamaskowanych postaci spacerowało po komorze, snując myśli na temat, że gdyby przyszło do stałego noszenia masek nos i włosy stanowiłyby zbędne dodatki do głowy.

Po skończeniu ćwiczeń widok był naprawdę wzruszający: cały kurs płakał. Ostry, drażniący bromek ksylilu działał jeszcze przez szereg godzin. Dnia tego słuchaczki na wszystko patrzyły przez łzy.

Epilog był pogodny. Uroczysty obiad. Przemowy milsze od komend, wiwaty głośniejsze od wystrzałów i gaz rozweselający w powietrzu...

In. Korab

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Akademja Karłowiczowska — koncert Filharmonji

Pamięć Mieczysława Karłowicza, w 25-tą rocznicę jego tragicznego i przedwczesnego zgonu, uczciło Warsz. Tow. Muzyczne we czwartek, dn. 8-go b. m.

W wypełnionej po brzegi sali Państwowego Konserwatorjum odbyła się uroczysta Akademja-Koncert, na wstępie której obecny dyrektor Towarzystwa, p. Adam Wieniawski, skreślił treściwie wybitną i zbawienną rolę w stosunku do Towarzystwa, w jednej z najcięższych, przełomowych chwil jego istnienia, ś. p. Mieczysława Karłowicza, ówczesnego dyrektora i dobrodzieja Warszawskiego Tow. Muzycznego i jego Sekcyj. Po krótkiem następnie omówieniu przez p. Wieniawskiego sylwetki kompozytorskiej Karłowicza odegrała orkiestra Wyższej Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina, przy współudziale pp. profesorek i profesorów szkoły, a pod dyrekcją prof. dr. Stef. Śledzińskiego, piękny fragment z „Serendy", młodocianego dzieła M. Karłowicza.

Helena Zahorska-Pauly głęboko wzruszyła słuchaczy nastrojową deklamacją. Wreszcie p. Zofja Żmigród-Fedyczkowska wykonała przy akompanjamencie p. J. Kaleckiego szereg pieśni, pełnych liryzmu i smutku, niezapomnianego młodego polskiego Mistrza.

* * *

Ostatni koncert piątkowy Filharmonji Warszawskiej był, pod względem programu, niezrównoważony.

U dyrygenckiego pulpitu stanął p. Georgescu, świetny kapelmistrz rumuński, ulubieniec niezaprzeczony naszej publiczności. Georgescu miał tym razem uszczuplone pole popisu kapelmistrzowskiego: jeden numer na wstępie i jeden zaledwie na końcu programu. Dwa Koncerty fortepianowe, przypadły w udziale p. Wandzie Piaseckiej, dobrej pianistce polskiej zamieszkałej w Paryżu.

Prawdziwą ucztą artystyczną były dwa poematy symfoniczne: „Życie bohatera" Ryszarda Straussa i „Uczeń czarnoksiężnika" Pawła Dukasa, w wykonaniu Orkiestry filharmonicznej pod mistrzowską batutą p. Georgescu.

A. W.

Sztuka „*Tak a nie inaczej*" Marjusza Maszyńskiego w Teatrze Nowym zyskała od pierwszego przedstawienia sympatję widzów. Zdjęcia nasze przedstawiają kulminacyjne sceny z Maszyńskim, Lubieńską i Łapińskim.



TEATR POLSKI

„Kupiec wenecki" Szekspira

„Rok dwudziesty drugi istnienia Teatru Polskiego" — zaznaczone jest na programie. Piękna ilość lat. I wspaniały gatunek długiej tradycji, która swym blaskiem zaćmiewa niejednokrotnie obecne poczynania Teatru.

Pamiętamy jeszcze niedawne realizacje sceniczne bardzo wysokiej klasy. Patrząc na tego „Kupca weneckiego", wracamy myślą do sztuki, która lat temu parę była wielkim Teatru Polskiego tryumfem: „Elżbieta królowa Anglji". Może uparcie nasuwa nam to wspomnienie Junosza-Stępowski — tam wspaniały ponury król Filip, — tu znowu wspaniały ponury Szajlok. Kreacja to niewątpliwie znakomita —godna wielkiego aktora — ale utrzymana w tonie tak dostojnym stanowi raczej tryumf osobistego uroku Stępowskiego, niż tryumf psychologicznej prawdy. Jego Szajlok — to nie lichwiarz krwiopijca, któremu droższe są utracone kosztowności, niż życie własnej córki, lecz starzec niemal czcigodny, skrzywdzony przez wrogie otoczenie. Szajlok Stępowskiego nie wzbudza odrazy, wzbudza raczej współczucie, wbrew oczywistym intencjom Szekspira.

Mimo wszystko jest to wielka kreacja aktorska. O innych rolach niema wogóle nic do powiedzenia. Porcja grała urodą, książę Aragoński nadmierną szarżą, książę Marokański epileptycznemi drgawkami, Jessyka zbytnią starannością, Antonio obojętnością na wszystko, nie wyłączając roli, Neryssa — dobremi chęciami. Pozostali grali, czem kto mógł: przeważnie rękami i nogami. Z bardzo młodego, bardzo niewyrobionego materjału aktorskiego możnaby wydobyć piękną grę zespołową— ale dokonać tego cudu może tylko głęboko twórczy, subtelny reżyser. Ordyński żadnej z tych zalet w realizacji „Kupca weneckiego" nie wykazał. Wykonanie męczyło ciągłym niemal forte. Sceny zespołowe chaotyczne, scena sądu zamiast budzić grozę wywoływała politowanie. Od początku do końca wrażenie tanich efektów operowych.

Wrażenie to potęgowały bezlitośnie dekoracje. Nużąca fotograficzna „doskonałość" uczyniła z Wenecji karykaturę. Ten sam artysta, który niedawno w Ipsie wystawił (niepodpisane) szkice dekoracji teatralnych, zwracające uwagę poezją półmroków, dał tutaj niepotrzebnie światło tak ostre, że aż bolesne. Włochy — to nie Afryka. A Wenecja specjalnie w swych ciasnych uliczkach tak jaskrawego światła nie zna: wąskie kanały, zamknięte w wysokich obramowaniach kilkopiętrowych domów, są zawsze pełne grozy, mroku, a już conajmniej niepokojącej tajemniczości. Tutaj o nastroju nie było wogóle mowy: każdą kroplę farby olejnej na *kamiennych* poręczach mostku widać było gołem okiem. O kostjumach p. Śliwińskiego lepiej nie mówić: kapały od złota a mimo to były prostackie. Ach, gdzież te cuda sharmonizowane, jak głębokie akordy, któremi były kostjumy w „Elżbiecie królowej Anglji"? — Jeszcze jedno wspomnienie...

Z. N. Ch.



„Kupiec Wenecki" Stępowski w roli Szajloka

Z FILHARMONJI

20-ty wielki koncert symfoniczny w piątek, dn. 16 lutego r. b. o godz. 8 wiecz.: Walerjan Bierdiajew (dyrekcja) i Dezydery Danczowski (wiolonczela).

22-gi Poranek symfoniczny w dn. 18 lutego r. b. o godz. 12 w poł. poświęcony muzyce rosyjskiej: Zbigniew Dymmek (dyrekcja), Juljusz Isserlis (fortepjan).

Romanówna i Kreczmar w „Kupcu Weneckim"



POKAZ MODY W „CYGANERJI"



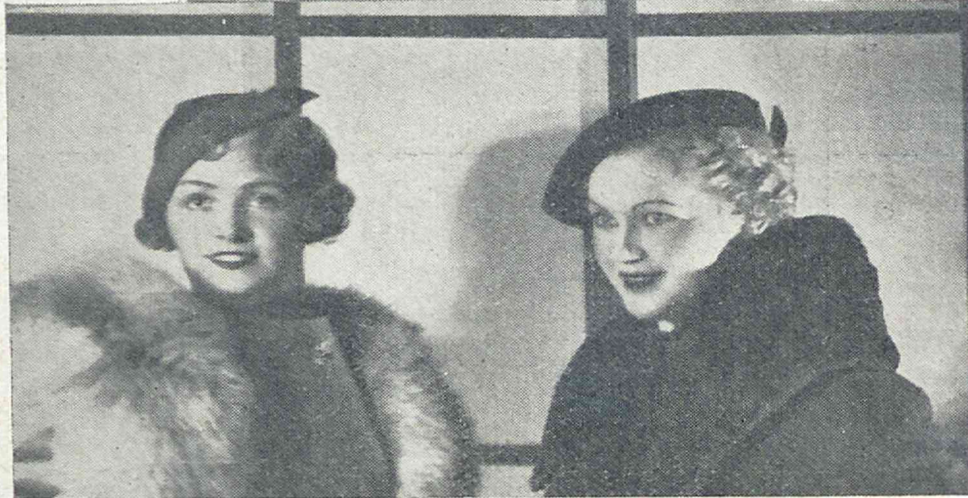
Rewja modeli wiosennych w „Cyganerji" daleko odbiegała od szablonu podobnych pokazów, dzięki dowcipnej konferansjerce p. Fryderyka Jarosy'ego. Jego znane: „proszę państwa" budziło wesołość zarówno wtedy, gdy pysznił się swemi podbojami u płci pięknej, jak gdy chełpił się śnieżnobiałym gorsem swej frakowej koszuli i niezbędnemi akcesorjami mody męskiej, pochodzącej z firmy A. FRENDLER — CHEMISIER (Marszałkowska 101).

Ostatnich kilka rewji mody, w jakich brała udział firma A. FRENDLER, wykazały niezbicie, iż jest ona „en vogue" i przoduje w swej branży. Konwenans zabronił p. Jarosy'emu zademonstrowania innych drobiazgów mody męskiej, które będą noszone na wiosnę. Firma A. FRENDLER zaprasza panów, którzy chcieliby obejrzeć kolekcję najnowszych wzorów do swego nowoczesnego magazynu.

Ze specjalnem zaciekawieniem przyglądały się panie kapeluszom, których pokazano bardzo wiele, a każdy był nader gustowny i znakomicie dobrany do sylwetki i stroju. Wszystkie te kapelusze były kreacji „MODES EDWARDA" (Żórawia 22), firmy znanej szeroko wśród klijenteli, która pragnie mieć nietylko ładny kapelusz, lecz i dobrze dostosowany do całości.

Wielkiem urozmaiceniem pokazu było wykonanie kilku tańców przez zgrabniutkie girlsy, owinięte w barwne tkaniny z firmy I. CWEJKO S. A. (Bielańska 23). Wszystkie modele wiosenne, demonstrowane na rewji zostały wykonane z tkanin firmy I. CWEJKO, co jest najlepszym dowodem, iż firma ta posiada bogaty wybór najmodniejszych, wiosennych materjałów. Zaznaczyć należy, iż suknia wieczorowa, w jakiej ukazała się czarująca „Królowa Blondynek" p. Godlewska, wykonana była również z materjału, pochodzącego z firmy I. CWEJKO.

Efektowne uczesanie „Permanente" p. Godlewskiej, wykonane zostało w pierwszorzędnym zakładzie fryzjerskim „ANTONI i ZYGMUNT" mieszczącym się w Pasażu Italja (Nowy Świat 23/25). Uczesanie to wzbudziło entuzjazm na Balu Mody, i dzięki niemu p. Godlewska uzyskała swój zaszczytny tytuł.



Najmodniejsze kapelusze wiosenne

Towarzyszący p. Godlewskiej vice-król Mody p. Aleksander Żabczyński, w nieskazitelnym fraku prezentował piękną koszulę frakową, kołnierzyk, krawat, laskę, cylinder i rękawiczki z firmy A. FRENDLER — CHEMISIER (Marszałkowska Nr. 101).

Pełną wiośnianego wdzięku p. Marysię Nowicką zdobiła nowoczesna kolja z brylancikami z magazynu wykwintnej galanterji STEFAN ZYGADLEWICZ (Nowy Świat 59), zaopatrzonego w bogaty wybór chętnie noszonych przez panie czarujących drobiazgów, jak bransoletki, kolczyki, klamry, lub modne klipsy, niezbędne do przybrania wytwornych toalet i kapeluszy.

Klasyczne nóżki p. Nowickiej zdobiły pończoszki jedwabne MANON 9999. Niezwykle trwałe i eleganckie pończochy marki MANON 9999 chociaż są pochodzenia krajowego, posiadają wszechświatową sławę, gdyż noszone są chętnie i zagranicą.

Prezentowała również na rewji swoje nowości stara (105 lat!) a tak modna obecnie firma FUCHS. Były to tym razem karmelki orzeźwiające, nadziewane ananasem. Karmelki te, zdobyły uznanie całej widowni. Conferencier p. Laskowski — ulubieniec publiczności z „Teatru 8.30" z naciskiem podkreślił, że obowiązkiem każdej wytwornej Pani na premjerze w teatrze lub w kinie, jest posiadanie bombonierki czekoladek lub torebki wykwintnych karmelków FUCHSA.

Rewję uświetniło przybycie Królowej Mody p. Very Bobrowskiej, oraz Króla Mody p. Igo Syma, którzy ukazali się na zakończenie.

P. F. Jarosy

Porady kosmetyczne

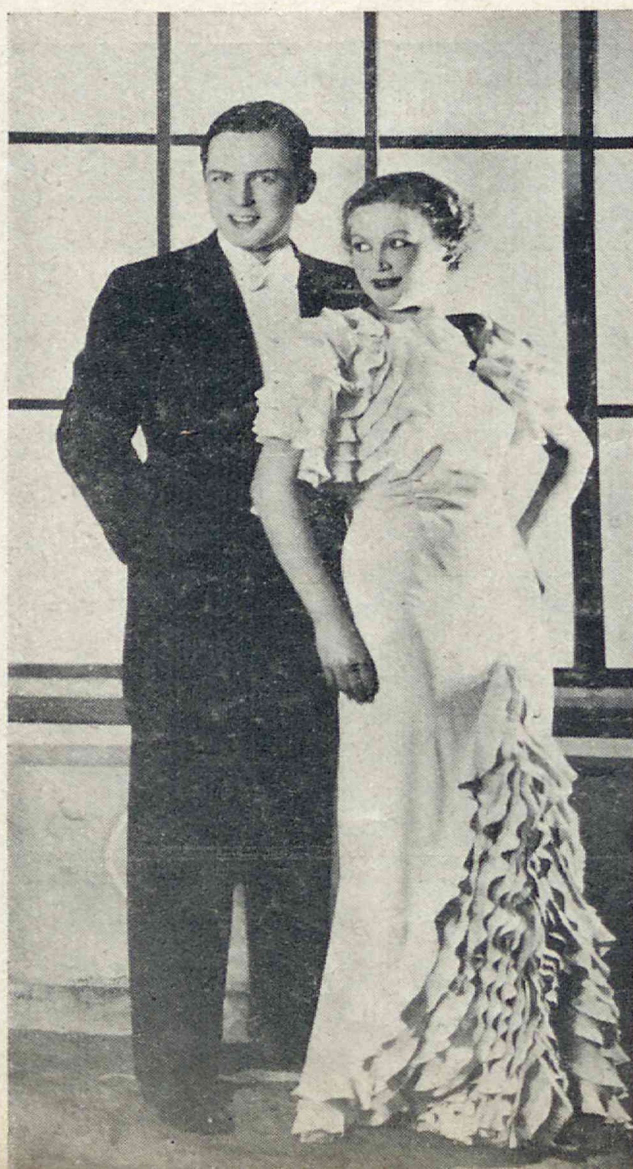
Odpowiedzi od Redakcji

P. Zofji N-ckiej, kierowniczce Schroniska Narciarskiego w Zakopanem. Po wycieczce zgłasza się do pani wiele osób, skarżąc się na zaczerwienienie, a nieraz i pieczenie skóry twarzy pod wpływem wiatru, lub słońca. Lekko przetłuszczony krem bezglicerynowy, jakim jest popularny Krem Sportowy Antiba, nieco wtarty przed wycieczką w skórę twarzy, a przez panie stosowany stale na dzień, jako krem pod puder, znakomicie zabezpieczy i uchroni od zaczerwienienia i spierzchnięcia.

„Almie" z Poznania. Radzimy zaprzestać wpuszczania pod powieki różnych kropel celem wzmożenia blasku oka, gdyż jest to szkodliwe i niebezpieczne. Po zmyciu tuszu z rzęs najlepiej przepłukać oczy 1% roztworem kwasu bornego.

Elżuni R. z Szydłowca. Zapytuje Pani, jaki jest najwłaściwszy środek do usunięcia pryszczyków i drobnych wyrzutów skórnych, powstałych na twarzy. Dobrze, że Pani dodała w swym liście, iż ogólny stan Pani zdrowia jest dobry. Sądzimy więc, iż jest to tylko powierzchowne zanieczyszczenie skóry. Wyborny środek w działaniu swem lekko złuszczający, jakim jest Spirytus Salicylowo-Kosmetyczny, marki Antiba z łatwością usunie drobne krostki i pryszczyki.

P. Godlewska, p. Żabczyński





P. M. Nowicka



W odpowiedzi na artykuł p. t. „Równanie na rolnictwo", zamieszczonym w № 3 „Świata", otrzymujemy ze sfer ziemiańskich następujący artykuł:

Tylko równanie na rolnictwo

Między rolnictwem a przemysłem istnieje znaczna różnica, której autor zamieszczonego w „Świecie" artykułu „Równanie na rolnictwo" nie widzi i stąd kwestjonuje potrzebę tego „równania".

Otóż rolnictwo jest podstawą wszelkiej produkcji, jak żywność stanowi podstawę życia. Jest to gałęź, na której wszystko siedzi. Złamanie się tej gałęzi — to ogólna katastrofa. Bez przemysłu żyć można, bez rolnictwa nie sposób.

Przemysł — to produkcja (bezpośrednio) tylko ludzka, w rolnictwie współpracuje z nami przyroda — siła od nas niezależna i nieobliczalna, tak, że plon w rolnictwie jest zawsze niepewny. Niemożliwą jest z tego powodu kartelizacja rolnictwa, czyli regulowanie produkcji rolnej w celu utrzymania, wzgl. zwyżki cen, a stąd niemożliwem też jest dla rolnictwa równanie na przemysł.

Wynika stąd obowiązek dla przemysłu równania na rolnictwo i to obowiązek we własnym też interesie. Bo nieważną jest okoliczność, czy dany kraj jest przeważnie rolniczym czy przemysłowym. Każdy bowiem kraj żyje z rolnictwa, jeśli nie swego, to obcego i produkta rolne otrzymuje wzamian za wyroby przemysłowe. Jeśli ta wymiana odbywa się z krzywdą dla rolnictwa po cenach niewspółmiernych, to rolnictwo musi mniej konsumować wyrobów przemysłowych, a stąd przemysł musi likwidować lub redukować produkcję. Tak jest dziś dzięki niebywałym „nożycom". „Nożyce" zaś te istnieją u nas dzięki kartelom, gwałtem starającym się utrzymać ceny na poziomie nieodpowiadającym konjunkturze. Ale piłują one gałęź, na której siedzą.

„Nożyce" bowiem powodują bezrobocie, które wzrasta automatycznie: każdy nowy bezrobotny to dalsze zmniejszenie konsumcji, a więc i produkcji. O ile więc bezrobocie nie zmniejsza się, to znaczy, że się zwiększa. Społeczeństwo przytem musi okazywać pomoc bezrobotnym, co zwiększa ciężary publiczne przy jednoczesnem zmniejszaniu się dochodu społecznego. Słowem, życie gospodarcze wskutek istnienia „nożyc" wygląda jak świeca płonąca z obu końców.

Zamknąć „nożyce" można tylko na poziomie dolnego ostrza, gdyż właśnie ceny rolnicze nie mogą być podniesione w sposób sztuczny (nawet w Ameryce — przy fabrycznej organizacji rolnictwa). Nic tu przytem nie znaczy okoliczność, że ceny ziemiopłodów nie mogą być ustabilizowane. Może i musi być pogoń za niemi. W życiu niema żadnych stabilizacji. Panta rei.

Podnieść ceny rolnicze mogłaby tylko katastrofa — głodu, wojny czy nieograniczonej inflacji, chociaż ta ostatnia podniosłaby też niewspółmiernie znowuż ceny przemysłowe tak, że „nożyce" istniałyby dalej, jak to widzimy na przykładzie Stanów Zjednoczonych przy ograniczonej nawet inflacji.

Kartele usprawiedliwiają swe „sztywne" ceny kosztami własnemi: — płacami, często zbyt wygórowanemi za pomocą wymuszeń strajkowych, wysokiemi podatkami i długami. Państwo i samorządy zabierają u nas prawie połowę dochodu społecznego (5 miljardów podatków na 10 — 12 miljardów dochodu). Należałoby więc tu zasadę: „zastaw się a postaw się" zamienić na inną: „według stawu grobla"...

Dalej — istnieje bezwzględna potrzeba oddłużenia. Stały spadek dochodów — to wzrost długów do wysokości uniemożliwiającej ich spłatę. Długi grożą dziś ruiną wszystkich dłużników. Ale sprawa oddłużenia wymaga oddzielnego omówienia.

W. Sikorski

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Gotlob Ludwik Weigle

Dnia 1-go lutego b. r. zmarł w Warszawie znany przemysłowiec i obywatel naszej stolicy ś. p. Gotlob Ludwik Weigle. Zmarły urodził się w 1850 roku w Backnang w Württembergji. Po ukończeniu nauk poświęcił się pracy na polu przemysłu garbarskiego. W roku 1874 przybył do Polski i tu założył w roku 1878 własną fabrykę skór. Dzięki wrodzonym zdolnościom, niezmordowanej pracy i energji, żelaznej wytrwałości oraz gruntownej znajomości fachu, ś. p. Gotlob Weigle podniósł stworzoną przez siebie placówkę polską na miejsce naczelne, udoskonalając



Ś. p. Gotlob Ludwik Weigle

produkcję do tak wysokiego poziomu, że wyroby jego fabryki spotkały się z ogólnem uznaniem nietylko w naszym kraju, lecz również i zagranicą.

Na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, wyroby fabryki zostały nagrodzone dwoma wielkiemi medalami złotemi.

Zmarły będąc dla swych pracowników prawdziwym opiekunem i ich przyjacielem, wychował w swej fabryce dwa pokolenia wykwalifikowanych zawodowców, przysparzając krajowi zastęp dzielnych i pożytecznych pracowników.

Za niecodzienne zasługi, oddane naszemu przemysłowi krajowemu ś. p. Gotlob Weigle, niezależnie od tytułu mistrza, został wyróżniony godnością Członka Honorowego cechu. Odznaczenie tak wysokie miało w życiu cechu miejsce po raz pierwszy. Dowodem ogólnego uznania wielkich zasług Zmarłego, jest mianowanie Go, w niezwykle licznych kondolencjach pośmiertnych, nadesłanych rodzinie Jego, Nestorem i pionierem polskiego garbarstwa, na co w zupełności sobie zasłużył.

W 1928 roku z okazji 50-cioletniego jubileuszu fabryki, Zmarły zdał prowadzenie jej na swoich trzech synów: Aleksandra, Edwarda i Bogusława Weiglów. Obecni właściciele są jedenastem zkolei pokoleniem rodu Weiglów, poświęcającym się przemysłowi garbarskiemu.

Ś. p. Gotlob Ludwik Weigle osierocił oprócz synów, córkę i wnuczęta.

Szczery i ogólny żal wśród szerokich kół naszej stolicy, oraz wdzięczna pamięć rzesz pracowników fabryki towarzyszą Zmarłemu do grobu.

Cześć pamięci godnego i zasłużonego obywatela kraju.

Towarzystwo okrętowe „Italia"

Towarzystwo okrętowe „Italia" uruchomiło nową linję ekspresową między Genuą a Aryką południową pod nazwą „EKSPRES DO POŁUDNIOWEJ AFRYKI".

Nowa ta komunikacja, odpowiadająca wymogom czasu i zadaniu, przyczyni się do zacieśnienia stosunków gospodarczych między morzem Śródziemnem a Afryką południową.

Na linji tej kursować będą znane transatlantyki „GIULIO CESARE" i „DUILIO", które rozgłosiły imię marynarki handlowej włoskiej, kursując dotychczas na linji do Ameryki południowej i północnej i będą nadal reprezentować godnie włoską marynarkę na tej nowej linji. Okręty te zostały zmodernizowane i przerobione stosownie do wymogów nowych rejsów. Na okrętach tych jest klasa pierwsza, druga i klasa turystyczna. Klasa III została zniesiona.

Klasa I-sza posiada przestronne kabiny, ma bardzo piękne sale ogólne, basen do pływania, bardzo gustowny klub, obszerną werandę i salę do tańca.

Klasa II-ga ma część kabin dawnej klasy pierwszej i jest szczególnie dogodną dla podróży młodocianych pasażerów, którzy będą tam mieli specjalną salę do zabaw i jadalnię, dużo przestrzeni na otwartem powietrzu i słońcu z basenem kąpielowym.

Klasa turystyczna została starannie urządzona i daje możność odbywania podróży w warunkach bardzo przyzwoitych po cenach minimalnych.

Musimy nadmienić, iż okręty te posiadają specjalną kuchnię rytualną dla pasażerów żydów.

Odjazdy z Genui są raz na miesiąc

Ś. p. Zofja Golińska-Daszyńska

Dnia 11 b. m. zmarła nagle w Warszawie, na anewryzm serca, wybitna uczona i działaczka Zofja z Bożawola Poznańskich Golińska - Daszyńska, przeżywszy lat 68.



Ś. p. Zofja Golińska-Daszyńska

Po ukończeniu wyższych studjów zagranicą, poświęciła się ekonomji, biorąc równocześnie czynny udział w życiu społecznem i politycznem. Po utworzeniu Wolnej Wszechnicy Polskiej objęła jako profesor katedrę ekonomji.

Zofja Golińska-Daszyńska jest autorką szeregu broszur i cennych prac z zakresu swojej specjalności.

Międzynarodowa korespondencja szkolna

Polska Komisja Międzynarodowej Korespondencji Szkolnej, działającej w ścisłej łączności ze Stałą Komisją Międzynarodową w Paryżu, grupującą kilkadziesiąt tego rodzaju Komisyj Narodowych we wszystkich nieomal krajach świata, rozwija, mimo że utworzona dopiero przed niespełna rokiem, coraz żywszą działalność. Komisja Polska utworzona została przez Polskę Komisję Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej. Prezesem Komitetu Wykonawczego jest prof. B. Nawroczyński, kierownikiem biura p. Z. Zaniewicki. Komisja ta zajmuje się propagowaniem i rozwijaniem indywidualnej korespondencji między polską młodzieżą szkolną i młodzieżą innych krajów. Korespondencja indywidualna ma na celu przyjazne i bezpośrednie zbliżenie młodzieży szkolnej różnych państw, informowanie młodzieży innych krajów o Polsce, rozwój samodzielności umysłowej korespondujących, a wreszcie nawet pomoc w nauce (języki obce, geografja, historja).

W ciągu ubiegłego roku ukazała się wydana przez Komisję Polską broszura p. Z. Zaniewickiego o historji, celach i zadaniach Międzynarodowej Korespondencji szkolnej. Ponadto Komisja wydała i rozpowszechniła w skołach polskich szereg druków, komunikatów i okólników informujących zarówno młodzież, jak i nauczycieli o zadaniach i organizacji korespondencji tej w Polsce.

Wedle sprawozdania z działalności Polskiej Komisji za okres ostatnich trzech miesięcy ubiegłego roku liczby młodzieży polskiej, która za pośrednictwem Polskiej Komisji nawiązała stały kontakt z młodzieżą innych krajów, przedstawiają się następująco:

Z Francją — 532 (397 dziewcząt i 135 chłopców).

Z Czechosłowacją — 404 (126 dziewcząt i 278 chłopców).

Z krajami Anglosaskiemi (Ameryka i Wielka Brytanja) — 98 (60 dz., 38 chł.).

Z Austrją — 57 (12 dziewcząt i 45 chłopców).

Razem więc przeszło tysiąc polskich uczenic i uczniów wyższych klas posiada swych przyjaciół-korespondentów zagranicą. Około 2.000 listów miesięcznie wychodzi z Polski i dociera do młodzieży, a przez młodzież do rodziców i do szkół cudzoziemskich.

Zbędne jest podkreślać wielkie znaczenie, jakie tego rodzaju kontakt posiada zarówno dla wzajemnego zrozumienia i zbliżenia międzynarodowego, jak i dla szerzenia wśród najszerszych warstw społeczeństw cudzoziemskich szczerych i bezpośrednich wiadomości o Polsce i jej życiu kulturalnem, gospodarczem i politycznem.

W roku bieżącym projektowane jest nawiązanie tego rodzaju kontaktu z szeregiem innych krajów, a przedewszystkiem z Rzeszą Niemiecką i z młodzieżą Wolnego Miasta Gdańska.

Stale zmniejszający się od lat kilku import porteru angielskiego w ostatnich czasach prawie że ustał zupełnie. Stało się to dzięki browarom „Haberbusch i Schiele", które wyrabiają porter na sposób angielski, niczem w smaku ani jakości nie ustępujący angielskiemu.

Casanova—dziennikarzem

Zmarły przed 135 laty w Dux w Czechach znakomity awanturnik światowej sławy, uczony i globtretter—Giovanni de Seingalt Casanova, rodem z Wenecji, wśród wielu przygód swego bujnego żywota zaznał również trudów bibljotekarskich i dziennikarskich. Zmarł na stanowisku bibljotekarza u hr. Waldsteina w Dux, dziennikarskiej zaś pracy probował w Wenecji.

W r. 1780 redagował i wydawał tam „Opuscoli Miscellanei", coś w rodzaju perjodycznego „magazynu" o mieszanej treści, w którym ukazywały się także przyczynki autobiograficzne jego pióra. Czasopismo to nie znalazło powodzenia i po pół roku upadło.

Niezrażony fiaskiem, wziął się Casanowa bezpośrednio potem do wydawania również w Wenecji czasopisma francuskiego „Messager de Thalie", w którem przedewszystkiem uprawiał propagandę i reklamę trupy francuskiej, grającej w weneckim teatrze S. Angelo. „Messager" umieszczał pozatem różne inne artykuły, między innemi opisy i wspomnienia autobiograficzne redaktora-wydawcy. Czasopismo to również utrzymało się tylko przez kwartał.

Na tem zakończyła się działalność publicystyczna Casanovy, odegrawszy nieznaczną rolę w dziejach czasopiśmiennictwa weneckiego XVIII-go wieku.

St. R.

Los artysty

Nietylko w Warszawie ceny obrazów spadły do poziomu tak niskiego, że artysta-malarz zaledwie pokryć może koszty materjału. W Paryżu obraz ceniony na 10 tys. franków przed pięciu laty „idzie" dzisiaj za pięćset.

Pewien malarz odesłał swoją pracę do antykwarjusza, z prośbą, aby uzyskał za obraz przynajmniej dwieście franków. Po kilku dniach nadeszła odpowiedź: „Mam nabywcę, ale nie chce on dać więcej, jak sto pięćdziesiąt". „Niech pan zagra na jego uczuciach — odparł malarz. — Proszę mu powiedzieć, że jestem chory, że umieram". Odpowiedź była niespodziewana. Nabywca proponował już tylko sto franków. „Nie powiedział mu pan, że umieram?" „Właśnie. Uważa on, że jeżeli pan umiera, trudno się spodziewać, aby stał się pan sławny i aby obrazy pańskie kiedyś wzrosły w cenie..."

Broszura „Jak tanio podróżować po Francji" w języku polskim

Staraniem Przedstawicielstwa Kolei Francuskich w Polsce ukazała się broszura „Jak tanio podróżować po Francji" w języku polskim, zawierająca informacje co do ulg, udzielanych turystom we Francji.

Powyższa broszura, jak również poprzednio wydane w języku polskim broszury: „Francja", „Wielkie szlaki międzynarodowe prowadzą przez Francję", „Zamki nad Loarą", „Lourdes" są do otrzymania bezpłatnie w Przedstawicielstwie Kolei Francuskich, Warszawa, Ossolińskich 4.

INTRATNA POSADA.

— Dzień dobry pani! Co słychać?... Dawnośmy się nie widziały.

— Dzięki Bogu, wszystko dobrze?

— A mąż pracuje?

— Ajakże, dostał teraz doskonałą posadę w ministerstwie. Tłomaczy różne rozporządzenia i okólniki z urzędowego na polski.

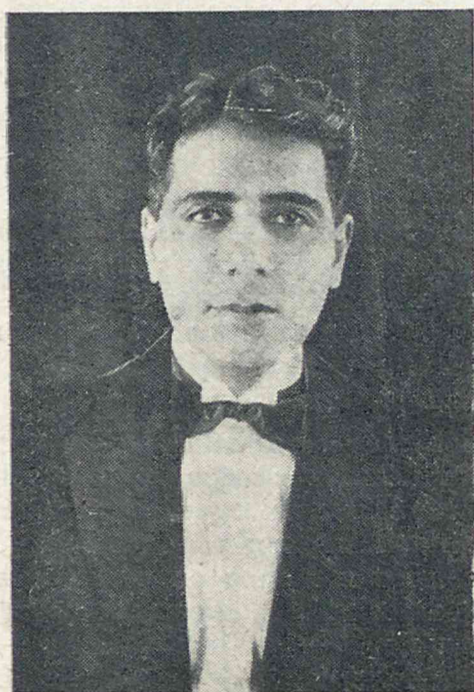
NIEUFNOŚĆ.



— *Odmieniaj czasownik rozbrajać się.*

— *Dziękuję! Żeby mi potem wymyślał cały świat!*

Wywiad z fakirem Hindusem Hamidem



Przejazdem bawi w Warszawie (ul. Bracka 4 m. 7 i 8 pensjonat) młody fakir Hindus HAMID, którego dar jasnowidzenia oraz nadprzyrodzona siła spirytystyczna wzbudza podziw całego świata. Podczas nieobecności p. Hamida napisałem na 4 karteczkach po jednem pytaniu. Kartki złożone na 8 części położyłem na stole przed sobą. Hindus HAMID wraca, i nie dotykając zapisanych kartek, dyktuje dosłownie moje 4 zapytania. Biorę do rąk zapisane kartki i ołówek. Zaciskam mocno dłonie. Po kilku chwilach rozkładam karteczki i znajduję na nich napisane odpowiedzi na moje poszczególne pytania. Jak się to stało?... Nadmieniam, że p. Hamid przez cały czas trwania eksperymentu nie dotykał karteczek i znajdował się w odległości przynajmniej jednego metra. Hindus Hamid posiada niepospolity dar jasnowidzenia i nadprzyrodzoną siłę spirytystyczną.

Anegdoty teatralne

Swego czasu w teatralnych sferach Warszawy modne były seanse spirytystyczne z Janem Guzikiem, słynnem medjum, który lubił pomagać duchom w efektowniejszych wystąpieniach.

Wiceprezes teatrów rządowych, literat, Kazimierz Hulewicz, urządzał też u siebie seanse, na które tylko zaufani i zaprzyjaźnieni z panem domu otrzymywali zaproszenia.

Może podejrzewano lojalność tych zebrań u jedynego Polaka, zajmującego tak wysokie stanowisko w stolicy „Priwislinja", dość, że na jeden z seansów do Hulewicza wprosił się sam oberpolicmajster Mejer. Hulewicz przed przyjściem wysokiego gościa dał następujące wskazówki Guzikowi:

— Niech pamięta, żeby duchy dziś nie śpiewały „Jeszcze Polska nie zginęła", a pan Mejer może ostatecznie od jakiej zjawy dostać po łbie.

I życzeniu pana domu stało się zadość. Oberpolicmajster został, bez szacunku ze strony ducha, silnie uderzony po głowie ciężkiemi szczypcami od staroświeckiego kominka. Policyjny dygnitarz ostatecznie stwierdził, że duchy u Hulewicza są lojalne, choć niezupełnie delikatne w stosunku do przedstawicieli władzy.

*

CHLUBA RODZINY.

Przed bramą wielkiej kamienicy na Solcu stoją dwie kumoszki, rozmawiając z ożywieniem.

— A jak tam panin Franek, kochana pani Szczypiorska?

— Ano już znów jest w domu. Za dobre sprawowanie skrócili mu w więzieniu karę o cztery tygodnie.

— Widzi paniusia, zawsze mówiłam, że może pani być dumna z syna!

(Cyrulik Warszawski).

DOKŁADNY ENTUZJASTA.

— Pani! proszę mi wierzyć, że moja pierwsza myśl każdego ranka biegnie w pani stronę...

— Ależ brat pana mówił mi przed chwilą to samo.

— To nic! Ja przecież codzień wstaję o pół godziny wcześniej od niego!

Rozrywki umysłowe

№ 16 (306)
Rebusiki literowe

Ułożył N. K. Kozłowski.

(Za rozwiązanie 7 punktów)

1 R / I	2 B / I	3 D / R	4 K / Ł
5 TA / U	6 D / T	7 A / Ż	8 WI / K

N.K.K.

№ 17 (307)
Zadanie muzyczne

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 10 punktów)

Z niżej podanych liter ułożyć 14 nazwisk najwybitniejszych kompozytorów polskich. Rząd oznaczony kropkami da rozwiązanie.

A A A A A A A A C C C C C D E E E
E E E E E E G G H I I I I I I I I I I
I I I J J K K K K K K K K K K K K K
K K K L L L L Ł M M M M M M N N
N N Ń O O O O O O O O O O Ó P R R
R S S S S S S S S S S S S S S S S T T
T U W W W W W W W W W Z Z Z Z
Z Z Ż

№ 18 (308) METAMORFOZA

Ułożyła Klementyna H.

(Za rozwiązanie 3 punkty)

W zdaniach:

1) PRZED KIM SĄ LODOPOKAZY?
2) I CZY KOCHA WAS REITMEL?
3) ZACHCER ROBI DWIE WAGI,

poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstały trzy znane przysłowia.

Rozwiązanie zadań

№ 1 (291). ZADANIE LITERACKIE. 1. Kipling. 2. Benavente. 3. Hauptmann. 4. Maeterlinck. 5. Spitteler. 6. Yeats. 7. Eucken. 8. Pontoppidan. 9. France. 10. Hamsun. 11. Tagore. 12. Lagerlöf. 13. Rolland. 14. Deledda. 15. Mann. 16. Reymont. 17. Bunin. 18. Gjellerup. 19. Shaw. — „Laureaci nagród Nobla".

№ 2 (292). PODWÓJNY LOGOGRYF. 1. Garbo — Young. 2. Wrona — Remiz. 3. Uczta — Stypa. 4. Beryl — Arsen. 5. Kryka — pałka. 6. Kowel — Płock. 7. Pokos — Pował. 8. Alina — Irena. — „Rozrywki umysłowe".

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 1 (291) (Za rozwiązanie 10 punktów). Fr. Wiśniewski. N. K. Kozłowski. Zygmunt Tietz. Jawna Kowalska. Dorota Herbstmanówna. Romuald Żak. Włodzimierz Hoffman. L. Glaszmidt. Kazimierz Lilpop. Zenon Brenek. Marja Strubel. Jan Popławski. Zofja Suchecka (Radom). Wład. Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków).

№ 2 (292) (Za rozwiązanie 7 punktów). Marja Strubel. Zenon Brenek. Kazimierz Lilpop. L. Glaszmidt. Włodzimierz Hoffman. Romuald Żak. Dorota Herbstmanówna. Jawna Kowalska. Zygmunt Tietz. N. K. Kozłowski. Fr. Wiśniewski. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków). Jan Rudziński (Kalisz). Baśka Żulińska (Częstochowa). Józef Małecki. Władysław Stock (Pińsk). Zofja Suchecka (Radom). Jan Popławski.

NAGRODY OTRZYMALI:

Jawna Kowalska (Warszawa) — książkę.
Cecylja Lewandowska (Warszawa) — książkę.

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—. 1/8 75
„ III „ 450.—, 1/2 225, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie" – Zapisujcie się na członków L.O.P.P.!

»ŚWIAT«

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Szpitalna 12
Tel. Redakcji 210-87. Tel. Administracji 504-00

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem).

W Warszawie:	Odbiór w Administracji	miesięcznie Zł. 5.—	kwart. Zł. 13.50
	Z odnoszen. do domu	„ „ 5.50	„ „ 15.—
	Na prowincji	„ „ 6.—	„ „ 16.20
	Zagranicą	„ „ 8.—	„ „ 21.60

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P